OGÓLNOPOLSKIE PISMO ANARCHISTYCZNE
NR 15 / 2021

ATAK

ZIELONA FALA
s.12-19

DIAGNOSTYKA LABORATORYJNA W POLSCE s. 4
DLACZEGO NIE LUBIMY POLICJI? s. 7
ZWIERZĘTA I COVID-19 s. 13
KŁUSOWNICY Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO s. 14
KOLEJ I ANARCHIZM s. 18
ARCHITEKTURA I SIŁA WSPÓLNOTY s. 20
JOLANTA BRZESKA W FILMACH s. 22

Ilustracja: Piotr Burzyński

„POSTĘPOWY" WSTĘP

Minęło już ponad pół roku od wielkiej mobilizacji polskiego społeczeństwa, którą rozpoczęły protesty w sprawie zaostrzenia prawa antyaborcyjnego, motywowanego pobudkami konserwatywnymi. Wydarzenia te zgrały się w czasie z pandemią COVID-19, co nie powstrzymało tysięcy osób przed wyrażeniem swojego sprzeciwu. Jednakże już w okolicach tegorocznego dnia kobiet można było zauważyć, że z tego ruchu praktycznie nic nie zostało - i to daje do myślenia. Osoby, pełniące funkcje liderów ruchu, zaczęły dogadywać się z politykami i różnymi specami, tworząc przy tym zupełnie niedemokratyczne rady. Warto zwrócić uwagę na to, że wiosną 2021 roku na fali aktywnego ruchu społecznego powinny odbywać się protesty w sprawie kolejnych projektów umożliwiających jeszcze większą kontrolę państwa, którą można by nazwać „policją do spraw ciąży". Cóż, cisza w eterze, władza odczekała, traktując niedojrzałość jesiennego wzburzenia jako anomalie i nadal robi swoje.

Inną sprawą jest mit postępu, czyli wiara w „technologię, która nas wyzwoli" i w społeczne projekty rodem z XIX wieku, czego nasilenie obserwujemy ostatnimi czasy po lewej stronie sceny politycznej. Wydaje nam się, że lewica jest postępowa w pewien prehistoryczny sposób - to coś na zasadzie zawracania rzek czy przenoszenia gór. Tego typu eksperymenty źle się kończyły i to zarówno w kontekście ekologicznym, jak i społecznym. Można by rzec, że widmo postępu ciągle unosi się nad światem i nie przynosi ludzkości wytchnienia. Postępowa lewica dziś wierzy - a wiadomo, że wiara czyni cuda - w zbawczą rolę energetyki jądrowej, by nadal podtrzymywać wzrost konsumpcji w bogatych krajach. Jednym z mitów wypychającym ludziom głowy makulaturą jest to, że energia atomowa jest bezemisyjna. Pytanie - ile energii potrzeba, żeby wybudować elektrownie atomową?

Jednym z powodów, aby sobie nieco odpuścić w kwestii mało liczącego się ze społeczeństwem i ekologią postępu (co nie oznacza powrotu do czasów jaskiniowców!) jest to, że mimo niesamowitego rozwoju technologii po 2000 roku robotników fabryczno-logistycznych jest najwięcej w historii świata - czy nie powinno być inaczej?

Wyzysk i nierówności społeczne - pomimo technologii, która miała nas niby wyzwolić - są coraz większe. Niby-postępowa lewica idzie ramię w ramię utartymi ścieżkami zderzaka i usypiacza społecznych nastrojów. Idzie ramię w ramię z władzą kapitału i państwa oraz homo sapiens nad naturą.

Krytykujemy zatem mit postępu - proponujemy m.in. postwzrost, czyli rozumne przyhamowanie w kwestii konsumpcji, rozwój alternatywnych systemów społecznych, ekonomicznych i kulturowych. Bez kontroli i władzy szefów, panów i plebanów.

Jako mieszkańcy Europy nie dostrzegamy tego, że nasze działania nie są tak naprawdę „bezemisyjne" (słowo, które jest ostatnio nadużywane przez tzw. „neoliberalną lewicę"), gdyż jest zupełnie na odwrót - niektóre kraje produkują i montują to, co my mamy szansę konsumować. Dochodzi do tego, że gmina, choćby taka jak Poznań, która wybuduje spalarnie śmieci, zowie się bezemisyjną, a remedium na problemy idące ze zmianami klimatu to (uwaga przeczytajcie na spokojnie i ze zrozumieniem): przystosowanie zieleni miejskiej do zmian klimatycznych; hm… znów ta zła natura, znów jest nie przystosowana i znów nie jest postępowa.

Kolejnym problemem jest zbytnie zaufanie do mediów społecznościowych. Wielu ludzi zapomina, że nie są one za darmo, ponieważ płacimy im swoimi danymi i siecią kontaktów. Nie są one też wolnościowe, a to, co w nich jest, zależy tylko od waszego zaangażowania czy zainteresowania. To TY jesteś przez nie kształtowany, a szczególnie TWOJA konsumpcja, nie TY je kształtujesz.

Począwszy od klasycznych tzw. opiniotwórczych mediów po media społecznościowe coraz częściej idee i ruchy spoleczne - szczególnie te budowane oddolnie i niewygodne - dzięki NASZEJ zgodzie i ignorancji mają ograniczone zasięgi lub całkowicie są wymazywane. Dlatego mimo iż korzystamy z nowych mediów zachęcamy WAS do dalszego wspierania naszej gazety anarchistycznej i innych oddolnych i niekomercyjnych projektów medialnych.

Pandemia, jaka opanowała całą planetę Ziemia, nadal nic NAS nie nauczyła, nadal wierzymy w mit postępu, nadal oddajemy jeszcze więcej władzy tym, którzy do tej pandemii doprowadzili. Już nie trzeba czytać dystopii w stylu „1984", bo wielu z nas zgodzi się na większą kontrolę i większą kasę na urządzenia nas pilnujące przed nami samymi, a cyniczni gracze chętnie to wykorzystują. Technologie kontroli, większe wydatki na zbrojenia i sprzęt dla policji nie stworzą bezpiecznego i zdrowego społeczeństwa. Mamy w naszym k-raju jedną z większych śmiertelności podczas pandemii na świecie (to efekt zaniedbań tej sfery przez rządy wszystkich opcji - jakichby nie przyjęły nazw i frazesów) i jakoś postępowo nie inwestujemy w to zdrowie czy bezpieczeństwo, stwarzając nowoczesny, zasobny, darmowy i dostępny system opieki zdrowotnej poddany społecznej i demokratycznej kontroli.

KAPITALIZM, SEKSIZM I RASIZM

Szymon Gams

Możesz zapytać: jakie są podstawowe przyczyny seksizmu? Neoliberałowie będą głosić, że seksizm jest po prostu naturalnym aspektem natury ludzkiej, a samo społeczeństwo nie jest temu winne. Nie jest to w pełni prawdą. Kapitalizm i wszystkie społeczeństwa podzielone na klasy pielęgnują i tworzą wyimaginowane linie podziału między ludźmi w oparciu o rasę, płeć, przynależność etniczną i inne rzeczy. W kapitalistycznej propagandzie mówi się nam, że różne rasy i płcie mają różne potrzeby, które na zawsze będą w konflikcie, a jedynym rozwiązaniem są prawa, które dyskryminują jedną lub drugą grupę.

Próby uspokojenia mniejszości rasowych i płciowych podejmowane przez kapitalistyczny rząd skutkują odwróceniem rasistowskich i seksistowskich praw, które dodatkowo zaogniają napięcia między rasami i płciami. Dobrą odpowiedzią niech będą tutaj słowa afroamerykańskiego działacza społecznego, wiceprzewodniczącego sekcji Czarnych Panter w Illinois, Freda Hamptona: „Nie myślimy, że ogień zwalcza się ogniem, wydaje się nam, że ogień zwalcza się wodą. Dlatego nie będziemy zwalczać rasizmu rasizmem, będziemy go zwalczać solidarnością. Nie będziemy zwalczać kapitalizmu czarnym kapitalizmem".

Każda korzyść w kapitalizmie musi wiązać się z czyimś kosztem, ponieważ system ma ograniczone możliwości dostępnych zasobów dla swoich obywateli. Co więcej, konserwatywne elementy kapitalistyczne, poprzez swoją kontrolę nad mediami, sprzyjają błędnym przekonaniom przeciwko najbiedniejszym członkom klasy robotniczej, tworząc potoczne społeczne mity, które sprzyjają nienawiści i pogardzie wobec grup zmarginalizowanych. Kapitalizm najłatwiej uderza w grupy zmarginalizowane, ponieważ mają one mniejszą możliwość odwetu i wywalczenia swoich praw niż grupy większe.

JAK BYŁO WCZEŚNIEJ?

Czasy społeczeństw opartych na ekonomii podarunków nie były oczywiście idealne. Ta prymitywna forma komunizmu jest opisywana przez Graebera w książce „Fragmenty antropologii anarchistycznej". Społeczności pierwotne niewątpliwie ulegały pewnym patriarchalnym schematom władzy, jednak jest to znacząco różne od tego, co nastało wraz z destruktywną figurą męskiego Boga w średniowieczu. Warto przecież pamiętać, że historycy znają wiele przykładów pierwotnie żeńskich postaci boskich – np. Venus z Vilendorfu.

Kiedy w ciemnych wiekach, po utworzeniu Kościoła rzymskokatolickiego, chrześcijaństwo stało się potężną siłą polityczną, czczono całkowicie męskie bóstwo, a ludzie kontrolowali ograniczone możliwości tego nowego podzielonego klasowo społeczeństwa, znanego jako feudalizm, uchwalone prawa i ideologie wrosły do zbiorowej psychiki poprzez propagandę kościelną, aby przekonać mężczyzn, że kobiety są gorsze (wiele z tych przekonań jest nadal utrzymywanych do dziś, choć w znacznie mniejszym stopniu dzięki ruchom na rzecz praw kobiet, które rozpoczęły się pod koniec XIX w., a nabrały rozpędu w XX w.). Kontrole społeczne, które demonizowały seks i wizerunek kobiety jako kusiciela przeciwko drogom nowego, całkowicie męskiego bóstwa, jeszcze bardziej pogorszyły wizerunek kobiety w umyśle patriarchalnego społeczeństwa.

JAK JEST TERAZ

Apologeci kapitalizmu próbują rozwiązać problem marginalizacji mniejszości poprzez większą dywersyfikację stanowisk w burżuazyjnej polityce czy na stanowiskach w korporacjach. Na pewno wraz z rozwojem systemu kapitalistycznego część osób z grup mniejszościowych żyje godniej. Jednak nadal są to ułamki całego problemu.

Szefowa wielkiej korporacji zwalniająca swoje pracownice czy stawiająca jedynie na męskich pracowników tylko utrwala problem patriarchatu. Można powiedzieć, że ta iluzja emancypacji jest czymś niezmiernie groźnym dla ruchów feministycznych, które skupiają się na równości. Feminizm liberalny skupia się na równości dla wyizolowanej grupy kobiet bogatych, nie ma to dużo wspólnego z egalitaryzmem, ale tworzy on iluzję emancypacji – groźną iluzję rozwiązania problemu.

Kapitalizm pogłębia problemy patriarchatu, tworząc iluzoryczne zniesienia dominacji mężczyzn, jednak zasadniczą kwestią jest problem różnic klasowych. Klasy społeczne nie są złożone tylko z jednej płci czy grupy społecznej. Dopóki istnieje różnica między klasami, dopóty kobiety będą nękane przez system kapitalistyczny.

Każde podzielone na klasy społeczeństwo, niezależnie od tego, czy jest zdominowane głównie przez mężczyzn czy kobiety, czarnych czy białych, nadal byłoby systemem nierówności ekonomicznych i społecznych dla większości swoich obywateli. Niektóre kobiety w obozie feministycznym nie widzą związku między kapitalizmem a nierównością, wolą wskazywać na samych mężczyzn, w tym także tych z klasy robotniczej, jako wroga. Jednak jest wiele socjalistek, które zdają sobie sprawę, że jedynym sposobem na osiągnięcie satysfakcjonującej i równej pracy dla kobiet jest wyeliminowanie wszystkich systemów podziału klasowego i utworzenie realnej demokracji, czyli władzy ludu (od: demos – lud, kratos – władza).

Problem ruchów feministycznych jest widoczny w Polsce. Feminizm głównego nurtu, ten związany bezpośrednio ze Strajkiem Kobiet, pozostawia dużo do życzenia. Głowami Strajku są kobiety uprzywilejowane, dlatego też mniej mówi się na strajkach o dominacji ekonomicznej i pogłębiających się problemach strajkujących osób. Strajk Kobiet sam w sobie stara się te tematy zręcznie omijać – i nic dziwnego, bo w końcu jest to w gruncie rzeczy ruch związany z liberałami.

Dlatego właśnie środowiska lewicowe powinny przebijać swój prokobiecy – czyli propracowniczy – głos na manifestacjach. Nie możemy wspierać kobiet, nie wspierając kobiet pracujących, matek tracących pracę czy starszych kobiet walczących z wielkimi korporacjami, jak to ostatnio było widoczne w sprawie Jeronimo Martins.

A-TAK
OGÓLNOPOLSKIE PISMO ANARCHISTYCZNE
To pismo dla was, dlatego czekamy na uwagi oraz krytykę, liczymy też na wsparcie. Zapraszamy do jego współtworzenia oraz pomocy w kolportażu. Wydawanie pisma to nie jedyna nasza aktywność, jesteśmy aktywni w wielu praktycznych działaniach ruchu anarchistycznego – pismo traktujemy jako jedno z narzędzi.

Gazetę tworzy kolektyw redakcyjny, jeśli chcecie się z nami skontaktować, piszcie na: **atak@riseup.net**
Wspieraj fundusz propagujący anarchizm i wydawanie „A-taku" (np. poprzez dotację, zakup wlepek itp.).
Kontakt: **akoordynacja@op.pl**
Do powstania numeru przyczyniły się następujące osoby/grupy: Agnieszka, Agnieszka Latos, Agnieszka Gierszon, Arya ,xEDGARx, Edward, Federacja Anarchistyczna (Polska), Federación Anarquista Rosa Negra, Federación Anarquista Uruguaya, Gabriela Ascui, Izabela Wnorowska, Jakub Zieliński, Jarosław Urbański, Kapitan Flint, Krzysztof Herman, Krzysztof Kołacki, Kuba Molenda, Luiza, Łukasz Weber, Magda Borysławska, Mateusz Gierszon, Michał Rams, Młosz. Pedro Ribeiro, Radosław Sto, Rafał, Szymon Gams, Tomek, Zielona Fala.
W numerze wykorzystano ilustracje:
Piotra Burzyńskiego (https://www.facebook.com/SwietlikBurzynskiArt/)
Edyty Bystroń (www.edytabystron.pl)
Zimzonowicza (https://zimzonowicz.com/)
Odpowiedzialni za numer: Tysart Mezinos, Kapitan Flint, Tola, Bełt.

ZE STRAJKU W SPEKTAKL

Kuba Molenda

Guy Debord w swoim „Społeczeństwie spektaklu" określa rządy kapitalizmu i konsumpcjonizmu mianem spektakularnych. Jesteśmy widzami, którzy pasywnie akceptują to, co aktorzy zagrają na scenie. Żywimy się inscenizowaną fabułą, angażujemy się emocjonalnie w konkretne akty i poszczególne sceny, nie jesteśmy w stanie odróżnić rekwizytu od tego, co przedstawia, widzimy postać, a nie konkretnego aktora. I chociaż od publikacji „Społeczeństwa..." minęło już prawie 55 lat, to przyglądając się ewolucji strajków kobiet w Polsce, można wyciągnąć jeden wniosek – spektakl ma się dobrze jak nigdy wcześniej.

UTRACONA JEDNOŚĆ

Wyszliśmy na ulicę wszyscy z jednego powodu – ogarnięci przez wściekłość spowodowaną absurdalną i nieakceptowalną decyzją Trybunału Konstytucyjnego. Mieliśmy ideę i impet, z którym należało się mierzyć. Nie baliśmy się przekraczać stawianych nam barier w postaci obostrzeń, interwencji policji czy ukazywania nas jako przestępców w środkach masowego przekazu. Walczyliśmy dla nas i o naszą wolność. Jednak to, co jednoczyło nas na początku, zakrywane jest dziś pod kurtyną spektaklu, który odwraca uwagę od tego, co najważniejsze. Pierwsze dni strajków organizowane były w jasnym celu, ukierunkowane były na konkretne działanie, czyli walkę o podstawowe prawo do decydowania o własnym ciele. Teraz to utraciliśmy. Kolejne osoby, grupy społeczne, organizacje czy też nawet partie, przyłączając się do strajków, zaczęły skandować swoje hasła i lobbować własną agendę. Taksówkarze, handlowcy, restauratorzy, politycy, aktywiści – strajk dziś nie jest już dla wszystkich walką o należne nam prawa, jest walką przeciwko komuś i za kogoś. Jesteśmy zasypywani spektakularnymi pseudo-opozycjami odwracającymi naszą uwagę od tego, co najważniejsze. Zamiast jednego celu, mamy ich wiele, często ze sobą niezgodnych. Każdy ma inną wizję tego, jak przebiegnie zmiana i o co tak naprawdę walczymy. Nie wyjdę na protest w imię żadnego polityka, a jednak na największych strajkach słyszę ich głosy dumnie orzekające swoją obecność na manifestacji. Walka o prawa człowieka jest przez ten głos zagłuszana.

Utracona jedność według Deborda to narzędzie, które pozwala spektaklowi na samopodtrzymywanie swojego życia. Strajki nie będą w stanie nic zmienić, dopóki z tego spektaklu nie wyjdą. Wymaga to jednak obalenia wszystkich sztandarów reprezentujących czyjeś partykularne interesy. Rewolucja nie polega na oportunizmie, zaś ci, którzy ją do tego wykorzystują, są jej największymi przeciwnikami. Osoby takie nie mają na celu obalenia spektaklu, lecz wejście w rolę nowych aktorów. Zadowalają się spektakularnością i uważają, że nie ma w niej nic złego tak długo, jak zostanie dobrana nowa obsada. Leczto nie przebieg castingu konstytuuje spektakl i jego absurdy – aktorzy mogą się zmieniać, a spektakl wciąż będzie trwał, zabijając indywidualność na rzecz wiecznej konsumpcji.

KONSUMPCJA ZAMIAST INDYWIDUALIZMU

Trywialnym będzie stwierdzenie, że kultura europejska jest złożona ze społeczności konsumpcjonistycznych – posiadamy, konsumujemy, zatracamy się w narracji reklam i nowomowy pozbawionej jakiegoś rzeczywistego znaczenia. Jednak z roku na rok forma tej konsumpcji przybiera coraz nowsze formy, tak by konsumujący nie zaznali znużenia. Tworzy się iluzję zmiany, nowości, a nawet rewolucji. Strajk Kobiet padł ofiarą właśnie takiej metamorfozy. Strajkujący konsumują swoją potrzebę spełnienia partykularnego celu, nie dostrzegając pierwotnie kierującej protestami idei walki o odebraną nam wolność. Zgadzają się na kompromisy, interesuje ich osiągnięcie chwilowego zadowolenia, tylko po to, żeby po jakimś czasie móc znowu popaść we frustrację. Samo zresztą słowo kompromis, które można znaleźć na ustach wielu protestujących, już wyraża rezygnację z własnej indywidualności na rzecz dalszego konsumowania. Kompromis oznacza potrzebę wycofania się i zrezygnowania ze swoich postulatów po to, aby podtrzymać iluzję tego, że mieliśmy jakiś wpływ i dokonaliśmy zmiany.

Strajk nie jest już dla wszystkich zmianą, lecz sposobem konsumpcji – w najskrajniejszych przypadkach być może nawet i formą spędzania wolnego czasu. „Strajkuję, ponieważ akurat miałem godzinę wolnego przed pracą" – tego typu słowa pokazują, że strajk powoli traci swoją autentyczność.

Manifestantów możemy potraktować jako „nierozpoznanych" – każdy odwrócony w inną stronę ku własnej potrzebie konsumpcji, każdy taki sam, wtapiający się w tło (bez charakteru wymaganego do zrozumienia istoty rewolucji), każdy pozbawiony rąk potrzebnych do osiągnięcia faktycznej zmiany. Wędrują, ale donikąd nie dotrą.

Dopiero dogłębne zrozumienie sytuacji w jakiej się znaleźliśmy, które wymaga umiejętnego abstrahowania od wszystkich zakłócających jedność celów czynników, pozwoli na wyrażenie swojej własnej indywidualności poprzez protest. Protestujmy wszyscy, jako społeczeństwo, ale nie dlatego, by mieć, lecz po to, by być – być wolnymi – a wolność tę uzyskamy jedynie wtedy, gdy zburzymy porządek spektaklu.

REWOLUCJA KONWENCJONALNA

Spektakl podtrzymywany jest przez iluzję zmiany, a największą z tych iluzji jest mit rewolucji konwencjonalnej. Pokojowe strajki to strajki prowadzone w ramach spektaklu, czyli udawane, nierewolucyjne i konwencjonalne. Nie mają siły przebicia – są obecne, ale nie są w stanie zrealizować wyznaczonego celu. Mają jedynie zaspokoić społeczną potrzebę wyrażenia swoich frustracji. Pozwala nam się wychodzić na ulice, pod warunkiem, że na wychodzeniu się skończy. Konsumujemy więc ładnie opakowany w „wolności obywatelskie" produkt, który nazwano pokojowym protestem. Kiedy ktoś próbuje wyjść poza tę konwencję, czyli stara się wyłamać z ram spektaklu, szybko spotyka się z oporem współmanifestantów (sic!).

W pierwszych dniach strajków nie bano się działać, okazywać swoją wściekłość poprzez czyny, nawet tak symboliczne jak malowanie błyskawic na murach kościołów. Nie trwało to jednak długo, a dzisiaj zdarza się, że liderzy protestów sami nawołują do ograniczenia maszerowania. Strach przed i tak już nałożoną na strajkujących łatką wrogów publicznych zasłonił im ich główny cel. Gdy zostali ogłoszeni przeciwnikami porządku, uznali, że wolą ten porządek zachować. Wybrali pozostanie w spektaklu, stagnację, iluzję posiadania wpływu i osiągnięcie chwilowej satysfakcji zamiast akceptacji tego, że trzeba być wrogiem systemu, jeżeli chce się go zmienić.

Żadna rewolucja nie może być konwencjonalna. Spisuje ją to zawsze na straty. Nie bójmy się więc niszczyć tego, co zastane i zwalczajmy spektakl, zamiast poddawać się jego regułom.



Jeden z jesiennych protestów w Poznaniu (2020) Foto: Radosław Sto

NOWY SPOŁECZNY SERWIS INFORMACYJNY

Szmer.info to wielotematyczny społeczny serwis informacyjny tworzony przez ludzi i dla ludzi.

Postujesz linki i uczestniczysz w dyskusjach społeczności, oddając głosy lub komentując. Wszystko dzieje się z poszanowaniem prywatności, w równościowej atmosferze, jak najdalej od korporacyjnych macek.

Nie jest to po prostu alternatywa wykopu czy reddita. Wykorzystujemy otwarte oprogramowanie „Lemmy", dzięki czemu nasza strona jest częścią sieci podobnych społeczności prowadzonych przez różne osoby i organizacje.

Dołączając do społeczności na naszym i innych serwerach możesz stworzyć swoją własną stronę główną z unikalnym wyborem najciekawszych tematów, wiadomości, artykułów i memów. W tle sprytne, publicznie dostępne algorytmy, oraz selekcja społeczności pozwalają na przepływ informacji pomiędzy grupami zainteresowań i odkrywanie nowych informacji.

Dostęp uzyskujesz wchodząc na stronę, przez aplikacje Lemmur (Android) czy Remmel (iOS).

Szmer tworzymy lokalnie i po polsku, bez korporacyjnego nadzoru czy reklam. Chcemy zbudować społeczność, która będzie wspierać tworzenie newsów, budowę nowych kanałów komunikacji i dzielenie się nimi. Ma być pośrednikiem ułatwiającym odkrywanie najciekawszych treści z serwisów prowadzonych przez inne osoby, projekty czy organizacje. Miejscem, gdzie o tym, co zobaczysz, będzie decydować nie interes korporacji, a Ty i twoja społeczność.

SZMER.INFO

SMUTNY PORTRET POLSKIEJ DIAGNOSTYKI LABORATORYJNEJ

Agnieszka Gierszon*

O tym, że w polskiej ochronie zdrowia nie dzieje się najlepiej, nie trzeba nikogo przekonywać. Niecałe 5% PKB przeznaczanego na zdrowie w porównaniu z europejską średnią oscylującą wokół 7%. Przepełnione, niedofinansowane szpitale, kolejki do lekarzy, brak dostępu do nowoczesnych i refundowanych terapii, zbiórki na leczenie prowadzone przez pacjentów na portalach crowdfundingowych. Jedną ze składowych tej smutnej układanki pozostaje też – równie niedofinansowana, a na pewno mniej znana przeciętnemu czytelnikowi bohaterka – polska diagnostyka laboratoryjna.

Mimo że około 60-70% rozpoznań lekarskich opiera się na wynikach badań laboratoryjnych (a badania laboratoryjne to w ocenie ekspertów najbardziej miarodajny, najszybszy i najtańszy sposób na zdobycie wiedzy o stanie zdrowia pacjenta oraz – w większości przypadków – podstawa do określenia sposobu leczenia), to naprawa stanu polskiej diagnostyki laboratoryjnej nie była priorytetem ani dla poprzednich rządów, ani nie jest nim dla obecnej władzy.

Kontrolerzy NIK już w 2017 roku bili na alarm, ogłaszając „Raport o dostępności i finansowaniu diagnostyki laboratoryjnej". Zgodnie z płynącymi z niego danymi „w Polsce diagnostyka laboratoryjna jest niedoceniania, a nakłady w zakresie dostaw wyrobów do diagnostyki laboratoryjnej na tle krajów UE są niewielkie – wynoszą jedynie 8,5 euro na osobę (...), podczas gdy np. w Słowenii jest to 23 euro (...), a w Belgii 33,5 euro". Co gorsze, „w Polsce wykonuje się za mało badań laboratoryjnych w ramach świadczeń podstawowej opieki zdrowotnej. Do tej pory nie ma w Polsce wycen badań laboratoryjnych, dokładnie nie wiadomo nawet, ile się ich w kraju wykonuje. Nie ma też rejestru badań laboratoryjnych. Wciąż brakuje powszechnego, obowiązującego systemu licencjonowania laboratoriów, powiązanego z oceną jakości badań".

Biorąc pod uwagę fakt, że w systemie dramatycznie brakuje pieniędzy na diagnostykę laboratoryjną, lekarze zlecają pacjentom za mało badań profilaktycznych. W związku z tym wiele chorób wykrywanych jest za późno lub na etapie, który stanowczo utrudnia lub podnosi koszty ich leczenia. Stąd spora część pacjentów płaci z własnej kieszeni za badania, które nie są tanie, zwłaszcza kiedy są to badania specjalistyczne lub trzeba na raz wykonać ich bardzo dużo. System, dla którego priorytetem jest medycyna naprawcza zamiast profilaktycznej, postawiony jest jednak na głowie: jest niewydolny, nieskuteczny i droższy w utrzymaniu. W ocenie NIK niewykorzystywanie badań laboratoryjnych w profilaktyce może skutkować m.in. „dynamicznym wzrostem kosztów refundacji leków", rosnącym wraz ze stopniem zaawansowania choroby, którą wykrywa się u pacjenta dopiero w późnym stadium.

Czy może być gorzej? Może. NIK pisze również o tym, że polskie laboratoria oprócz odpowiedniego finansowania pozbawione są też odpowiedniego nadzoru i kontroli, jako koszt często wyprowadzane są poza szpitale na zasadzie outsourcingu, a Ministerstwo Zdrowia nie robi nic, aby to zmienić. Działania Ministerstwa Zdrowia opisane są w raporcie jako bezczynność, która może „zagrażać właściwej jakości i dostępności wykonywanych świadczeń diagnostyki laboratoryjnej".

Mimo że od czasu opublikowania raportu NIK minęły już ponad trzy lata, sytuacja nie zmieniła się na lepsze, a pandemia COVID-19 jeszcze wyraźniej uwypukliła niedostatki polskiego systemu ochrony zdrowia i braki w odpowiednim finansowaniu diagnostyki laboratoryjnej.

CO ROBI DIAGNOSTA

Do tej pory mało kto wiedział, kto wykonuje i kto odpowiedzialny jest za badania laboratoryjne. Na wydane przez lekarza zlecenie „robiło się wyniki": ktoś pobierał nam krew, ktoś inny odnosił ją za szklane drzwi laboratorium, a po kilku godzinach dołączał do naszej dokumentacji wydruk z tajemniczymi liczbami lub – jeśli sami opłacaliśmy wykonanie badania – pobieraliśmy ten wydruk ze strony internetowej laboratorium. Pandemia COVID-19 sprawiła jednak, że Polki i Polacy usłyszeli o zawodzie diagnosty laboratoryjnego, a w zasadzie diagnostki laboratoryjnej, bo prawie 90% osób pracujących w polskich laboratoriach to kobiety.

Diagności laboratoryjni to około 16 tysięcy osób, w większości absolwentów pięcioletnich magisterskich studiów na kierunku analityka medyczna, prowadzonym wyłącznie przez uniwersytety medyczne. Dla porównania – lekarzy mamy w Polsce 150 tysięcy, pielęgniarek zaś – prawie 20 razy więcej niż diagnostów.

Odrębną grupę pracowników laboratoriów stanowią wspomagający diagnostów w ich pracy technicy analityki medycznej – z roku na rok jest ich jednak coraz mniej, a szkoły policealne nie kształcą już kolejnych roczników. Obecnie pracuje ich jeszcze około 3 tysięcy.

Diagności laboratoryjni nie tylko potwierdzają zakażenie wirusem SARS-CoV-2, badają także wszystkie inne parametry, począwszy od rutynowej morfologii, przez oznaczenie poziomu glukozy, hormonów, OB, po próby wątrobowe. Również diagności laboratoryjni wykonują badania mikrobiologiczne, genetyczne, oznaczają antygeny zgodności tkankowej przed przeszczepieniem narządu lub szpiku, dobierają krew do transfuzji, oznaczają typy chorób hematoonkologicznych czy badają odpowiedź komórek nowotworowych na leczenie. A to tylko początek długiej na kilka tysięcy pozycji listy możliwych do wykonania badań laboratoryjnych.

Jako partnerzy lekarze diagności uczestniczą w całym procesie diagnostyki i terapii, sugerują kolejne badania, które w przypadku danego pacjenta warto byłoby jeszcze wykonać. Do tego całe życie się uczą – zdobywają specjalizacje z kilkunastu dziedzin medycyny laboratoryjnej i tytuły naukowe, uczestniczą w zjazdach i konferencjach branżowych, a na uczelniach medycznych kształcą kolejne pokolenia pracowników laboratoriów.

Łącznie – niecałe 20 tysięcy wykształconych kierunkowo ludzi w całej Polsce zajmuje się badaniami laboratoryjnymi dla pozostałych 38 milionów obywateli i zapewnia obsadę w ponad 2,5 tysiąca laboratoriów. Statystyka zdaje się przeczyć tej możliwości, bo przy założeniu, że na tysiąc polskich pacjentów przypada 0,318 diagnosty laboratoryjnego, plasujemy się dużo poniżej średniej europejskiej, niżej niż Finlandia (1,24), Islandia (0,830), a nawet niż Serbia (0,796), Kuba (0,536) czy Indie (0,370). Za nami na osi znajdują się już tylko Brazylia, Katar, Egipt, Bangladesz i Mongolia.

SYTUACJA

Wydawałoby się, że tak mała grupa zawodowa (obciążona tak dużą ilością pracy, świetnie wykształcona, niezbędna w systemie ochrony zdrowia i ustawowo zobligowana do kształcenia ustawicznego i specjalizowania się za własne pieniądze) powinna być za swoją pracę adekwatnie wynagradzana. Niestety – od lat pracujemy ponad siły w niedofinansowanych laboratoriach, za niewspółmiernie małe do ponoszonej odpowiedzialności pieniądze. Wynagrodzenie diagnosty laboratoryjnego bez specjalizacji wynosi obecnie około 3000-3500 zł brutto, wynagrodzenie specjalistów oscyluje zwykle wokół kwoty 4200 zł brutto, natomiast technicy analityki medycznej skazani są najczęściej na najniższą krajową pensję, wzbogaconą jedynie o dodatek z tytułu długiego zatrudnienia. Żeby było śmieszniej, a na pewno ciekawiej, za wszelkie błędy w pracy, które często kosztować mogą nawet życie ludzkie, diagności laboratoryjni odpowiadają całym swoim majątkiem. Biorąc pod uwagę wysokość ich pensji, ustawodawca stanowczo nisko wycenia więc zdrowie pacjentów. Do tego – jako jeden z 15 zawodów zaufania publicznego, podlegają także odpowiedzialności cywilnej i karnej, a także zawodowej.

Żeby związać koniec z końcem, zapełnić braki kadrowe w systemie ochrony zdrowia oraz zarobić na koszt obowiązkowego kształcenia ustawicznego i specjalizacyjnego [sic!], diagności i technicy pracują zatem w nadgodzinach i na kilku etatach. Nierzadkie są przypadki, kiedy na rozmowie kwalifikacyjnej w nowej pracy świeżo upieczone absolwentki analityki medycznej słyszą od dyrekcji placówki pytanie o to, czy mają bogatego męża lub inną osobę, która będzie mogła wspomóc je finansowo, bo ich pensja będzie programowo niska. Nie mając alternatywy, podejmują pracę za słabe wynagrodzenie, pielęgnując tym samym narastającą od lat patologię, a szukając jej – odchodzą z zawodu, bo za tak niskie pensje nie da się zbudować dorosłego życia. Biorąc pod uwagę zmniejszającą się corocznie liczbę techników analityki – rąk do pracy w laboratoriach nie przybywa.

Polska ochrona zdrowia funkcjonuje już więc paradoksalnie jedynie dzięki ofiarności i biedzie jej pracowników oraz instynktowi samozachowawczemu pacjentów. Gdyby pracownicy nie mieli w sobie empatii i chęci pomocy, a pacjenci nie byliby zmuszeni do współfinansowania teoretycznie darmowej opieki zdrowotnej, wszystko już dawno ległoby w gruzach.

* Sekretarz Krajowego Związku Zawodowego Pracowników Medycznych Laboratoriów Diagnostycznych



Manifestacja Warszawa 2016 Fot.: archiwum autorki



Protest głodowy diagnostów i fizjoterapeutów (2019) Fot.: archiwum autorki

WSZYSCY JESTEŚMY PUCYBUTAMI?

Magda Borysławska, Izabela Wnorowska

Sukces jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy tylko wcześniej wstawać, bardziej się starać i dźwigać większy ciężar, by zostać kimkolwiek się zapragnie. To jedno z najczęściej powtarzanych zaklęć neoliberalnego kapitalizmu. Jego mitologia opiera się na marzeniu o indywidualnym awansie do klasy średniej. Jednostki wspinające się po drabinie stratyfikacyjnej łatwo ulegają iluzji, że żyjemy w społeczeństwie równych szans, a sukces każdego i każdej z nas jest proporcjonalny do wysiłku, jaki wkładamy w dążenie do niego.



Autorka: Edyta Bystroń

Z jednej strony działa tutaj wdrukowane pragnienie odcięcia się od kondycji robotniczej. W taki sposób bowiem przez pierwsze dwie dekady transformacji rozumiano w Polsce emancypację. Z drugiej strony wodą na młyn kapitalistycznej propagandy jest folklor coachingowo-rozwojowy i bajki o tym, że aby osiągnąć sukces, wystarczy go sobie zwizualizować i przestać bać się wyzwań. Opowieści o ciągłym aspirowaniu i wysokich ambicjach, karmiące się naszymi niedostatkami i bezsilnością wobec systemu, najmocniej działają na najbiedniejszych i gorzej sytuowanych. To ich najłatwiej zawstydzić – wytykając, że nie potrafią się dostosować i iść z duchem czasu.

UWIKŁANI W KAPITAŁ

Przekonanie, że każdy członek społeczeństwa ma dostęp do tych samych zasobów i możliwości, jest krzywdzącą iluzją. Nierówności społeczne są zbyt silnie zakorzenione w strukturach społecznych, by dało się je pokonać samodzielnie, będąc – jak to się zachęcająco mówi – kowalem swojego losu.

Problem ten stanowił centralny punkt badań francuskiego socjologa Pierre'a Bourdieu. Według jego tzw. teorii kapitałów istnieją w społeczeństwie trzy główne rodzaje kapitału: ekonomiczny, kulturowy i społeczny oraz jeden nadrzędny (kapitał symboliczny), który jest swego rodzaju wypadkową trzech pierwszych, gwarantującą społeczne uznanie. Znaczenia kapitału ekonomicznego nie trzeba nikomu wyjaśniać: wszyscy wiemy, jak bardzo liczą się złotówki wpływające na konto. Dużo bardziej intrygującymi, a jednocześnie często pomijanymi w społecznej świadomości, są kapitały kulturowy i społeczny. W skrócie – pierwszy z nich można zdefiniować jako edukację, zarówno tę zinternalizowaną, jak i formalną, a drugi jako sieć kontaktów oraz dostęp do różnych grup społecznych. Produktem współdziałania tych trzech rodzajów kapitału jest tzw. habitus, czyli trwałe dyspozycje jednostki, określające jej (dość stałą) pozycję w społeczeństwie, wzorce zachowań i gust. Wszystkie te elementy mają decydujący wpływ na to, czy i jakie wykształcenie zdobędziemy, ile będziemy zarabiać, jak często będziemy podróżować, z jakiej oferty kulturalnej (i czy w ogóle) będziemy korzystać, czy i jakie sporty uprawiać, a także jaką nosić fryzurę. Ilość i rodzaj kapitałów są określone już w momencie urodzenia i w bardzo nielicznych przypadkach możliwe jest zgromadzenie na tyle odpowiedniej ich ilości, by zdobyć inną pozycję w społecznej hierarchii.

Śmiało można więc stwierdzić, że amerykański slogan „od pucybuta do milionera", będący synonimem kapitalizmu, jest nie tylko nierealny, ale wręcz szkodliwy, bo przerzuca odpowiedzialność za niepowodzenia życiowe z poziomu systemu na poziom jednostki.

GDYBYŚ TYLKO WCZEŚNIEJ WSTAWAŁ...

Mimo swojej szkodliwości wspomniany slogan nie przestaje jednak być rozpowszechniany. Złote recepty na to, jak przestać być pucybutem, sprzedaje w najlepsze choćby motywator finansowy, który jakiś czas temu zaskarbił sobie sporą popularność w memiarskiej części leftbooka. Jak zbudować majątek? W czterech prostych krokach: 1) spłać długi; 2) wydawaj mniej; 3) zarabiaj więcej; 4) inwestuj rozważnie. Gotowe. Faktycznie, oszczędzanie i inwestowanie wydaje się super pomysłem. Problem w tym, że wynagrodzenie 1,5 miliona osób pracujących w Polsce (głównie w handlu i gastronomii) było w 2019 roku niższe niż płaca minimalna. Również dane Eurostatu z 2018 r. falsyfikują głęboko zakorzenione przeświadczenie, że ciężka praca jest gwarancją dobrobytu. Badanie pokazało, że zagrożonych ubóstwem jest 6% osób pracujących na stałą umowę o pracę i 16% osób pracujących na umowę na czas nieokreślony. Kusząca wizja pomnażania kapitału jest poza zasięgiem 1,7 mln osób zatrudnionych na umowę o pracę, które według danych Eurostatu za 2018 r. zarabiały mniej niż 1920 PLN. Nie pomoże tutaj ani regularne wizualizowanie sobie dobrobytu, ani pozytywne nastawienie.

A może zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego jest tak, że zwycięzcy loterii w większości kończą jako bankruci? Motywator spieszy z wyjaśnieniem: Nie wiedzą, jak obchodzić się z pieniędzmi, czyli nie potrafią myśleć jak biznesmen. Mają „mentalność biedaka". Przez tę optykę zupełnie tracimy z oczu systemowe podłoże nierówności społecznych. Według neoliberalnych wizji trudna sytuacja materialna to efekt złych nawyków i cech osobowości. Przerzucanie całej odpowiedzialności za wyjście z biedy na jednostkę to stały element fetyszyzowania tzw. przedsiębiorczości. Zwykle idzie w parze z pouczaniem, wytykaniem palcami, zarzucaniem lenistwa czy braku zaradności. W końcu doba bezrobotnego biedaka ma tyle samo godzin, co doba Jeffa Bezosa czy Billa Gatesa, prawda? Co powstrzymuje więc ludzi, którzy urodzili się w popegeerowskich wioskach, w wielodzietnych rodzinach, przed zbijaniem majątku?

Klasizm w czystej postaci widzimy jak na dłoni, przyglądając się rzekomym powodom, przez które ludzie nie mają pieniędzy. Zwykle punktuje trzy: nie oszczędzasz, nie masz dodatkowych źródeł dochodu, otaczasz się innymi ludźmi bez pieniędzy. Według Krajowego Rejestru Długów tych okropnych ludzi bez pieniędzy jest całkiem sporo: ponad 5,5 miliona Polek i Polaków nie ma żadnych oszczędności, a ponad 2,6 miliona posiada ich mniej niż tysiąc złotych. Miejmy nadzieję, że motywator wrzucił już post o tym, gdzie najlepiej znaleźć bogatych znajomych.

Powtarzanie, że „chcieć to móc" – w kraju, w którym przez niemal dwie dekady transformacji mieliśmy dwucyfrowy wskaźnik bezrobocia i w którym obecnie 40% z nas nadal żyje na poziomie minimum socjalnego – to oznaka braku empatii i zupełnego niezrozumienia rzeczywistości społecznej. O ile wspomniane wskaźniki ekonomiczne poziomu życia dają się w sposób czytelny zawrzeć w słupkach statystyk, o tyle zasoby kulturowe i społeczne wydają się przezroczyste, nie tak namacalne i przez to trudniejsze do uchwycenia. Zwierciadłem, w którym dokładnie odbijają się nierówności kulturowe, jest na przykład dostęp do edukacji.

DO SZKOŁY, JASIU!

„Ucz się, dziecko, ucz, to będziesz dobrze zarabiać" – powtarzają rodzice przynależący do niższych klas społecznych. Nie jest to błędne myślenie, gdyż kapitał kulturowy, tj. między innymi edukację, można przekuć w ekonomiczny, jednak efekty tego działania widoczne są dopiero w kolejnych generacjach.

Edukacja w Polsce jest bezpłatna i teoretycznie ogólnodostępna. Jak się jednak okazuje, decyzja o kontynuowaniu edukacji oraz o kierunku wykształcenia jest w dużej mierze uwarunkowana czynnikami rodzinnymi. Jak wynika z badania „Uwarunkowania Decyzji Edukacyjnych" (przeprowadzonego w 2014 roku przez Instytut Badań Edukacyjnych) dzieci rodziców posiadających wykształcenie wyższe dużo częściej same dążą do ukończenia studiów. W przypadku kiedy matka lub ojciec posiadają wykształcenie podstawowe lub gimnazjalne, tylko około 8% ich potomstwa decyduje się na zdobycie wyższego wykształcenia, podczas gdy w przypadku rodzin akademickich jest to około 73%. Nastawienie do edukacji kształtuje się zatem już w kontekście rodzinnym, co automatycznie prowadzi do ciągłego reprodukowania nierówności społecznych. Idealistycznym (a może jednak ignoranckim?) jest przekonanie, że stworzenie dostępu do edukacji daje jednakowe szanse wszystkim jednostkom.

Rodziny, które pomimo nienajlepszych warunków finansowych i braku przynależności do kręgów akademickich decydują się wysłać dzieci na studia, często nie są w stanie zapewnić im zaplecza finansowego. W efekcie tacy studenci zamiast skupić się na nauce i na nawiązywaniu kontaktów (a zatem gromadzeniu kapitału społecznego), są zmuszeni do podjęcia pracy zarobkowej, niestety najczęściej w kiepsko opłacanych branżach, które nie są związane z ich kierunkiem studiów. W tym czasie ich koledzy i koleżanki mogą sobie pozwolić na bezpłatne praktyki i szkolenia, zyskując tym samym dodatkowego asa w rękawie podczas późniejszego poszukiwania pracy.

KOMPETENCJE CZY MOŻLIWOŚCI?

Kolejnym ważnym aspektem definiującym pozycję w hierarchii społecznej są posiadane umiejętności. Idea merytokracji, na której co do zasady bazują współczesne systemy edukacyjne i zawodowe w Europie, wydaje się wprawdzie najbardziej sprawiedliwym konceptem, jednak znów – nieco idealistycznym. Merytokracja zakłada, że pozycje w społeczeństwie rozdzielane są na podstawie wiedzy i umiejętności danej jednostki, a nie jej pochodzenia, płci czy narodowości. Nie można jednak zapomnieć, że poszczególne umiejętności cieszą się w społeczeństwie różnym stopniem uznania, a co za tym idzie, gwarantują inne wynagrodzenie i pozycję. Oznacza to, że jednostki, które dysponują przecież przeróżnymi zdolnościami i różnymi rodzajami wiedzy, nie mają dostępu do tych samych możliwości. Problemem, który od razu nasuwa się w tym kontekście na myśl, jest ekonomizacja edukacji, czyli wykorzystywania kształcenia jedynie do osiągnięcia określonych celów gospodarczych. Głównym celem edukacji zdaje się być obecnie jedynie przekształcenie kapitału kulturowego w kapitał ekonomiczny. Edukacja nie służy już temu, by kształcić studentów na świadomych i autonomicznych obywateli, lecz jedynie temu, by byli w stanie przynieść jak największy pożytek gospodarce. W ten sposób emancypacyjny charakter kształcenia schodzi na drugi plan, a osoby posiadające wiedzę i zdolności, które nie przyczyniają się do wzrostu gospodarczego, zostają niemalże wykluczone.

Motywowanie ludzi do działania nie jest niczym złym. Problemem jest obwinianie i drwiący ton wynikający z przemilczania potężnych u nas w Polsce barier mobilności społecznej. Winda mobilności ledwo zipie, a opinia publiczna nadal brzydzi się programami socjalnymi i ideą państwa opiekuńczego. Niezauważanie nierówności kulturowych prowadzi do przemocy symbolicznej. Ta najbardziej dyskretna forma przemocy zakorzeniona jest w strukturach systemu edukacji, rynku pracy, występuje we wszystkich kręgach społecznych,

SZLAK BAŁKAŃSKI

Agnieszka

WIELOASPEKTOWY I PRZEMILCZANY ŁAŃCUCH PRZEMOCY I ŁAMANIA PRAW CZŁOWIEKA

Termin „push back” pojawił się w przestrzeni publicznej stosunkowo niedawno, ale proceder nielegalnych wydaleń trwa nieprzerwanie od kilku lat. Dopiero żmudna i drobiazgowa praca aktywistów ujawniła szokującą skalę łamania praw człowieka na granicach Unii Europejskiej. Po raz pierwszy sąd we Włoszech wydał wyrok, ujmując się za Pakistańczykiem, którego bezprawnie wydalono aż do Bośni. Komisja Europejska bada przypadki ujęte w raportach, które co miesiąc tworzą zaangażowane w kolektywnym działaniu Border Violence Monitoring Network, który dokumentuje nielegalne „push backs” i policyjną przemoc stosowaną na granicach Serbii i Chorwacji, Serbii i Węgier, Bośni i Chorwacji

OD POLITYKI OTWARTYCH GRANIC POPRZEZ JEJ USZCZELNIANIE

Od 2016 roku na tzw. szlaku bałkańskim, którego trasa zmienia się w zależności od aktualnej polityki danych krajów tranzytowych, migrują tysiące ludzi rocznie. Umożliwia to działania wielkich międzynarodowych siatek przemytniczych. Osoby, których nie stać na „pomoc przemytnika”, zazwyczaj zostają na tzw. szlaku bałkańskim wiele miesięcy, a nawet lat. Polityka zamkniętych granic spowodowała również niebezpieczny kurs kryminalizowania działań humanitarnych w krajach, gdzie nie tylko obserwujemy skrajnie populistyczne nastroje. Przykładowo w grudniu 2020 r. kilkuosobowa rodzina pochodząca z Afganistanu, będąc już na terytorium Słowenii, w lesie w akcie desperacji zadzwoniła pod numer alarmowy w poszukiwaniu pomocy, wiedząc, że grozi im „readmisja” (odsyłanie uchodźców, którzy nielegalnie przekroczyli granice, do państwa, z którego przybyli – red.) do Bośni. Zastała ich ciężka sytuacja ze względu na warunki atmosferyczne i groziła im utrata zdrowia, a nawet życia.

Takie osoby w drodze najczęściej padają ofiarą śmiertelnych wypadków, kiedy to chcąc uniknąć spotkania z policją czy innymi umundurowanymi służbami, giną pod pociągami, w rzekach czy właśnie na górskich szlakach. Uszczelnianie granic jest ogromnym biznesem przynoszącym ogromne korzyści majątkowe. Są na nich zainstalowane kamery, czujniki ruchu i inne nowoczesne technologie tylko po to, żeby udaremnić wędrówkę zdesperowanych ludzi.

ZESPÓŁ STRESU POURAZOWEGO

Migracja na tzw. szlaku bałkańskim jest jednym z najbardziej traumatycznych przeżyć, a skala zespołu stresu pourazowego jest nie do oszacowania. Każda z osób, które wydostały się z tzw. szlaku bałkańskiego, po uzyskaniu ochrony międzynarodowej i po wieloletniej udręce nie potrafi odnaleźć sensu życia, a w nowym miejscu miewa myśli samobójcze. Na ten stan rzeczy wpływają drastyczne momenty, których doświadczyli począwszy od niebezpiecznej przeprawy morskiej lub lądowej do granic Europy, a następnie pobyt m.in w hot spotach na wyspach greckich, znieczulica europejskich urzędników, powolna procedura azylowa, groźba deportacji do kraju, z którego się uchodzi (ponieważ np. nagle stał się w definicji urzędniczej krajem bezpiecznym), niepewność, oferowane minimalne środki finansowe.

Dla zdecydowanych wyruszyć na tzw. szlak bałkański bez oczekiwania na procedurę azylową w Grecji pojawiają się kolejno nowe wyzwania i problemy, jak wielodniowe piesze wędrówki, narażenie na warunki atmosferyczne, przemoc, kradzieże, gwałty, głód. Do tego po spotkaniu ze strażnikami granicznymi można stracić zdrowie, a nawet życie.

Oprócz tortur, jak bicie i upokarzanie, dochodzą przypadki przemocy na tle seksualnym. Straż graniczna przeszukuje pieluchy malutkim dzieciom w poszukiwaniu telefonów lub pieniędzy. Były również przypadki kiedy małoletnie dziewczynki były rozbierane na komisariacie policji na oczach ich ojców i braci. Ponadto mężczyźni opowiadają o sytuacjach, kiedy zmuszani byli do symulowania seksu między sobą lub zostali po prostu zgwałceni konarem drzewa.

Pogranicznicy lub policjanci oddają na złapane osoby mocz, upokarzają na tle rasistowskim i wyznaniowym, zabierają wszystkie rzeczy osobiste, w ogniskach palą buty, ubrania. Niejednokrotnie na ulicach przygranicznych miasteczek można spotkać ofiarę „push back”, charakteryzującą się licznymi widocznymi obrażeniami ciała.

Skala takich działań jest bardzo duża i jest ona drastyczna. Od wielu lat przemoc na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej jest dokumentowana w raportach niezależnych organizacji międzynarodowych skupiających aktywistów, którzy rozmawiają z ofiarami nielegalnych „push backów”.

Chorwacja jednak konsekwentnie wypiera się stosowania przemocy, a jej samej nic nie grozi, ponieważ cała Unia Europejska uczestniczy w szokującym procederze tzw. „łańcuchowym push back”. W 2019 roku w okolicach chorwackiej gminy Cista Provo przy drodze krajowej pojawiły się bardzo wymowne bilbordy z napisami „Witajcie w Chorwacji” i „Chorwacji pełnej przemocy” ze zdjęciem ciężko pobitego człowieka. Kilka dni po ogłoszeniu przez Komisję Europejską, że Chorwacja spełniła warunki do przystąpienia do strefy Schengen, grupa aktywistów rozpoczęła kampanię przeciwko legitymizowaniu przez Unię Europejską stosowania przemocy wobec migrantów, które są po prostu torturami.

„PUSH BACK” OBNAŻA HIPOKRYZJĘ UNII EUROPEJSKIEJ

Raporty grup zaangażowanych w monitorowanie przemocy na granicach szlaku bałkańskiego ujawniają brutalne praktyki pograniczników. Szeroko omawiane praktyki (tzw. „push back” lub „push backi łańcuchowe”) są metodą ochrony europejskich granic, a tym samym europejskiego stylu życia.

Termin „push back” jest kluczowym słowem opisującym sytuację, która rozwinęła się w ostatnich latach wzdłuż granic Unii Europejskiej: Węgier, Chorwacji, Serbii, jak i niedawno Grecji. „Push back” to nieformalne wydalenie (bez zachowania odpowiedniej procedury) osoby lub grupy do innego kraju. Sytuacja ta jest sprzeczna z terminem „deportacja”, która jest przeprowadzana w ramach obowiązujących w danym kraju przepisów prawa i zawartych umów międzynarodowych.

Natomiast „push back łańcuchowy” to działanie w tzw. szarej sferze, od której nie ma możliwości odwołania. Odrzucenia na granicy stały się nieodzownym elementem brutalnej i reżimowej polityki migracyjnej Unii Europejskiej, która takimi działaniami przeczy swoim deklaracjom o ochronie praw człowieka. „Push backi łańcuchowe” są bardzo niebezpieczną praktyką, która dowodzi, że Bośnia jako kraj została wytypowana na strażnika granic Unii Europejskiej, nawet jeżeli się z tym nie zgadza.

NA PLACU WE WŁOSKIM TRIEŚCIE

Tu w zasadzie zaczyna się proceder łańcuchowego „push back”. W połowie lutego 2021 r. policja postawiła w stan oskarżenia 75-letnią Lorenę Fornasir i jej męża, oskarżając ich o przemyt ludzi i wspieranie „nielegalnej migracji”. Jedynym przestępstwem kobiety jest pomoc osobom w drodze, którym udało się dostać po wielu trudach do Włoch. Opatrując ich rane stopy i robiąc to oficjalnie, została symbolem człowieczeństwa dla wielu, ale jednocześnie ofiarą bezdusznej polityki i kryminalizacji aktywistów. Z kolei jej mąż Gian został oskarżony, ponieważ odebrał pieniądze z Western Union, które zostały wysłane z Iranu pewnej rodzinie, zakupił dla nich bilety kolejowe. Ta Irańska rodzina nie miała dokumentów, żeby odebrać przekaz, co jest bardzo częstym problemem wśród osób w ruchu.

Pomimo międzynarodowej zasady non-refoulement, która stanowi jeden z najistotniejszych standardów postępowania z migrantami, a jej rodowód wiąże się z międzynarodowym prawem uchodźczym, w którym istnieje zakaz zawracania osób objętych ochroną międzynarodową lub poszukujących takiej ochrony, takie praktyki mają obecnie miejsce i są dowodem na celowe działania. Łańcuch zwrotny ciągnie się od Włoch, po Słowenię, Austrię i Chorwację, która jest ostatnim krajem, gdzie osoby w drodze przed wydaleniem do Bośni stają się ofiarą okrutnych i mało wyrafinowanych tortur.

JAK WIDZĄ TO LOKALNI MIESZKAŃCY PRZYGRANICZNYCH MIASTECZEK?

Sama obecność ludzi w drodze w bośniackich czy serbskich miasteczkach przygranicznych wzbudza oczywiście różne emocje i reakcje – są wśród nich również rasistowskie i ksenofobiczne. Natomiast większość osób zachowuje się normalnie w stosunku do osób w drodze, traktując ich jako nieodłączny element dnia codziennego. Obraz Bośniaka faszysty wynika głównie z fałszywej narracji medialnej w ostatnich latach, co doskonale widzimy w publikacji „Preko margine: Disinformation about marginalized groups in BiH. media”.

WARUNKI W OBOZACH I OŚRODKACH JAKO KOLEJNY DOWÓD TORTUR

Działania międzynarodowych organizacji wspierających migrację na życzenie Unii Europejskiej, Bośni oraz Serbii są powodem, dla którego trudno zdobyć zaufanie oddolnym grupom kolektywnym wśród lokalnych aktywistów. Od 2018 roku do feralnego dnia pożaru w obozie Lipa, czyli 23 grudnia 2020 r., nadzór nad obozami dla osób z doświadczeniem uchodźczym sprawowały IOM (Międzynarodowa Organizacja do Spraw Migracji) wraz z Duńskim Czerwonym Krzyżem. Do ich zadań należało tworzenie struktur pomocowych w tym wspieranie osób z doświadczeniem uchodźczym w uzyskaniu miejsca noclegowego wraz z dostępem do infrastruktury, współpraca z lokalnymi agendami samorządowymi, policją oraz strażą graniczną.

Z szacowanych 88 milionów euro, które oddział IOM otrzymał na działania w Bośni, otworzono zaledwie kilka obozów, w tym około trzech było budynkami, pozostałe to namiotowe pola bez bieżącej wody oraz ogrzewania. Ponadto IOM sfinansował samochody dla lokalnej policji oraz latarnie w miejscach, gdzie najczęściej widywano osoby migrujące, jak parki lub okolice, gdzie spędzali noce, czyli przykładowo opuszczone budynki i obiekty. Ośrodki oraz obozowiska, które IOM otwierał w Bośni, są świadectwem tego, jak bardzo złym pomysłem są wielkie organizacje pomocowe.

Katastrofalne warunki bytowe są licznie udokumentowane fotografiami i relacjami osób, które zmuszone były i są w nich przebywać. Do przemocy psychicznej i ekonomicznej wobec osób w drodze dochodziła i dochodzi przemoc fizyczna zewnętrznych firm ochroniarskich oraz niewystarczająca liczba miejsc do spania i małe porcje żywnościowe.

Aktualnie w Bośni powołana została lokalna Służba ds. cudzoziemców, ale czy to będzie odmiana dla losu tysięcy osób w drodze? Nie ma takiej pewności.



POLICJA, HISTORIA, ZWIĄZKI ZAWODOWE
DLACZEGO NIE LUBIMY NIEBIESKICH?

Działając w ruchach propracowniczych, musimy pamiętać, że podstawą dla aktywistów i pracowników jest etos wspólnotowości. Stojąc razem, ramię w ramię, jesteśmy silni i możemy dokonać namacalnych zmian. Dlatego należy wiedzieć, kto i w jaki sposób rozbija naszą wspólnotę, kto siłą czy strachem próbuje pozbyć się ducha buntu i walki o własny byt. Warto jednak nasze poglądy zracjonalizować, ufilozoficznić i określić historycznie – w tym postaram się pomóc.

Szymon Gams

DLACZEGO POLICJĘ NALEŻY ODCZYTAĆ HISTORYCZNIE? CZY HISTORIA MOŻE NAM POMÓC W NAUKACH SPOŁECZNYCH?

Analizując każdy konspekt polityczny, można dojść do wniosku, że konserwatyści mają w jednej rzeczy rację. Chodzi tutaj o koncept wywodzący się już semantycznie z tego światopoglądu, czyli o „konserwowanie". Żeby zrozumieć, jaki wpływ na rzeczywistość budują konkretne struktury państwa, należy pochylić się nad tym, co te struktury konserwują wraz ze swoim trwaniem. Zdawałoby się więc, że konserwatyści są niejako ideologami przeklętymi, którzy próbują działać ku trwaniu systemu. Dlaczego tego nie odwrócić, dlaczego nie dokonać transpozycji (zmiany kolejności – red.) trwania na dogłębną analizę pomagającą nam obalić zewsząd bronioną bastylię?

Dajmy przykład, który wytłumaczy tą nieintuicyjną myśl. Badając wszelkie nauki, można dostrzec, że są one spuścizną po ich historycznych odpowiednikach. René Guénon powiedział, że współczesna chemia jest niczym innym jak pozbawioną religijnego charakteru tradycyjną nauką alchemii. Sprawa w naukach ścisłych zdaje się więc jasna, są one po prostu historycznym rozwinięciem ruchu ludzkiej myśli. Inaczej wygląda to w przypadku nauk społecznych. Spójrzmy na nowoczesną geopolitykę, która zdaje się być niczym innym, niż zlaicyzowanym rozwinięciem sakralnej kartografii. Kiedyś mapy straszyły smokami czy innymi legendarnymi stworami. Dziś te legendarne stwory przetrwały tam, gdzie kiedyś pojawiały się smoki – teraz mówi się o groźnej kulturze muzułmańskiej. Geopolityka opiera się więc na tworzeniu pozorów, które racjonalizują ludzki strach. Średniowieczne drżenie przed smokami nie różni się bardzo od dzisiejszego drżenia przed „złymi migrantami".

Taka historyczna analiza prowadzi nas do wniosków, że polityka działa w paradygmacie mitologii, która ulega stopniowej racjonalizacji i konserwowaniu pierwiastków definiujących jej konkretne aspekty. Rolą myślicieli lewicowych będzie więc określenie tego, co konserwowane. Nic dziwnego, przecież trudno walczyć z wrogiem, nie znając go, niczym ślepiec.

JAKĄ CZĘŚĆ SPEKTAKLU KONSERWUJE INSTYTUCJA POLICJI?

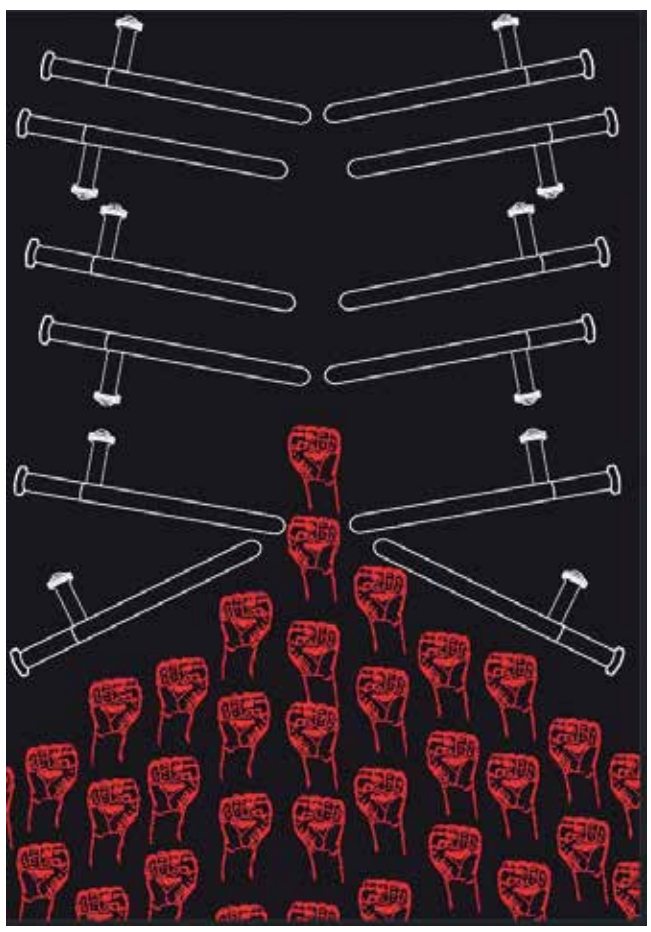
Problematykę pierwiastka, który konserwuje instytucja policji, najlepiej wytłumaczyć na przykładzie historii Stanów Zjednoczonych – w końcu też tam najgłośniej jest ostatnio o buncie przeciw sile i przemocy policyjnej. Powstanie nowoczesnej policji w USA datuje się na rok 1900, ale swoje początki miała ona jeszcze w koloniach amerykańskich. Grupy patrolujące niewolników, kontrolujące czarnoskórych – wszystko w celu utrzymania statusu możnych – tym historycznie była policja. Czy nadal jest? Nie będę silił się na ignorancję historyczną, sytuacja ze zorganizowanymi najemnikami państwa polepszyła się – ciężko wskazać mi wydarzenia porównywalne do np. zamieszek w Haymarket – jednak sama konserwowana reguła chronienia interesów najbogatszych jest aktualna. Właśnie ta ochrona interesów najbogatszych, która w Stanach Zjednoczonych pokrywa się z instytucjonalnym rasizmem jest przyczynkiem do zorganizowanych działań ruchu Black Lives Matter. Jeśli więc przyjąć, że geopolityka definiowana jest przez strach – to instytucja policji definiowana jest przez siłę i chęć obrony status quo, poprzez dławienie osób zmarginalizowanych – i to właśnie istnienie tej instytucji jest konserwowane. Parafrazując międzynarodowy manifest antypatriotyczny: policjant jest więc niczym innym jak prostytutką państwa.

Jak wyglądało działanie policji w II RP? Polska policja również definiuje się konserwowaną przemocą i obroną interesu klasy wyższej. Rota przysięgi policyjnej na podstawie ustawy z roku 1919, wiąże tę służbę z wiarą: Przysięgam Panu Bogu… Całkowite oddanie swojej pracy aparatu państwowemu jest tu okraszone wzniosłymi religijnymi frazesami. To pozwala odczytać policję w kolejnym interesującym aspekcie – dla policjanta państwo jest bogiem, wzorem Abrahama gotów on jest poświęcić swoją godność państwu. Religijność struktur policyjnych w II RP była tak mocna, że policjanci przed zawarciem związku małżeńskiego potrzebowali na to zgody swojego przełożonego – niczym relacja księdza i wiernego.

Lacan w 1974 r. na konferencji prasowej w Rzymie powiedział, że „jeśli psychoanaliza nie zatriumfuje nad religią, to dlatego, że religia jest nie do zdarcia". Pochylając się jeszcze nad językiem analitycznym, można powiedzieć, że cechą policjanta jest tworzenie i racjonalizowanie własnego politeizmu (wiary w dwóch bogów). Państwo jest tutaj perwersyjnym masochistą, który utrwala w policjancie poczucie służby w imię racji wyższej; czy to będzie racja stanu czy racja boska – są to perwersyjne figury sakralne.

Wiele o samej historii policji w Polsce mówi nam też, wydałoby się niepozorna, struktura zatrudnienia. II RP, mimo bycia państwem wielonarodowym i wielowyznaniowym, nie odzwierciedlała tego w instytucji policji. Nietrudno stwierdzić, że ponad 95% członków kadry policyjnej (wyższego i niższego szczebla) było Polakami wyznania rzymskokatolickiego. W roku 1923 tylko 253 szeregowych policjantów było innej narodowości i tylko 1205 innego wyznania. Taka struktura w kraju wielonarodowościowym i wielowyznaniowym pozostawiała duże pole do nadużyć w przypadku konfliktów np. na tle religijnym. Policjanci nie zachowywali bezstronności, jak robią zresztą i teraz.

Jak w II RP żyło się anarchistom? W sierpniu roku 1926 powstała Anarchistyczna Federacja Polski (AFP). Anarchiści w II RP krytykowali rządy sanacji, wyrażali niechęć wobec struktur państwowych i starali się ideologicznie definiować kluczowe narzędzia państwa. Członkowie AFP borykali się ze stałą inwigilacją służb policyjnych i wieloma aresztowaniami. Pierwszym lepszym przykładem jest życiorys Stefanii Karoliny Marek, która, po zidentyfikowaniu jej działalności wolnościowej przez służby, została aresztowana. Część historii polskich anarchistów, później, bo podczas drugiej wojny światowej, jest tragiczna, np. Zofia Hajkowicz-Brodzikowska zmarła torturowana w siedzibie gestapo. Policja i służby państwowe w II RP konserwowały w sobie tę samą służbę sakralnemu państwu, o której mówi się teraz – zresztą to dość symptomatyczne, że część z nich trafiła do „granatowej policji", jawnie współpracując z nazistami.



Ta krótka analiza historyczna przybliża motywy instytucji policji: ochronę interesu możnych i para-religijność. Czyż nie brzmi to zgoła podobnie do organizacji pokroju ONR? Zresztą nic w tym dziwnego, warto mieć przed oczami Bąkiewicza (prezesa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, byłego działacza ONR – red.), który pod okiem policjantów zrzuca starszą kobietę ze schodów – intencje są podobne, struktura jest podobna, a jedyną różnicą jest to, że mundurowi mają państwowe narzędzia do czynienia krzywdy.

Problem faszyzacji policji zdaje się być jeszcze bardziej namacalny w USA – przecież to tam środowiska trumpowskie pozwoliły sobie na wylew furii pod okiem policji w budynku Kapitolu. Zastanawialiście się kiedyś, gdzie są niebiescy, kiedy faszyści atakują marsze lub sieją chaos na ulicach miasta? Pierwszą możliwością jest np. to, co stało się podczas Strajków Kobiet na Rondzie De Gaulla – policjanci nie zdążyli lub nie chcieli ochronić manifestacji szturmowanej przez pseudo-kibiców, napastnicy zostali przegonieni przez zorganizowanych działaczy lewicowych. Jest też druga możliwość, właściwie to bardziej pytanie retoryczne. Czy myśleliście kiedyś nad tym, gdzie jest Peter Parker, kiedy na kinowym ekranie pojawia się Spider Man? Wydaje się to jasne, bo bardzo podobnie jest z policją – przecież okrzyki „faszyści – policja, jedna koalicja" nie wzięły się znikąd.

POLICJA A ZWIĄZKI ZAWODOWE

Skoro wytłumaczyłem już historyczno-filozoficzny aspekt funkcjonowania policji, jej konserwowane pierwiastki, to pora odpowiedzieć na kolejne pytanie: dlaczego związki zawodowe policjantów nigdy nie będą częścią zorganizowanego ruchu robotniczego? Związki zawodowe policjantów wydają się być czymś problematycznym, przecież policjanci – przynajmniej prawnie – również są pracownikami. Mówienie o „braku wsparcia" dla jakichkolwiek pracowników wydaje się być czymś niedopuszczalnym. Skupmy się więc na tym, dlaczego policjanci różnią się od innych pracowników.

Mundurowi są jedyną grupą pracowniczą, która ma legalną możliwość zabicia innego człowieka podczas swojej pracy. Wyobrażacie sobie sytuację, w której pracownice Amazona katują na śmierć inną osobę i nie otrzymują za to żadnej odpowiedzialności prawnej? Inaczej jest w przypadku policjantów, którzy nie wahają się przed takimi praktykami – z polskiego podwórka jest to np. przykład Igora Stachowiaka (zabitego paralizatorem na komendzie 15 maja 2016 – red.).

Co ciekawe, w większości stanów w USA związki zawodowe policjantów były kiedyś nielegalne. Delegalizacja tych struktur była motywowana obawą przed zbrojną juntą prostytutek państwa. Związki zawodowe policjantów od lat rozwijały się w izolacji od ruchu pracowniczego. Ta izolacja opiera się na różnej solidarności. Pracownicy „zwykli" jednoczą się w imię walki klas, w przypadku policjantów jest to solidarność instytucjonalna – bo policja jest częścią systemu i to ona trzyma go w ryzach. Policja zawsze istniała, aby bronić interesów możnych i stawiać ten interes ponad interes pracowników – pracowników, którzy winni być bronieni przez związki zawodowe.

Dużo o tej sprawie mogą nam powiedzieć również programy związków zawodowych policjantów, które nie odzwierciedlają potrzeb klasy robotniczej, tylko wyizolowanej grupy, jaką są departamenty policji. Wymowne w tym kontekście są np. wnioski Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Policjantów w sprawie szczepień. Przewodniczący zarządu NSZZP, Rafał Jankowski, nie raz już podkreślał, że policjantom szczepienia należą się przed innymi pracownikami – taka Janda czy Miller w mundurze. Jednak najważniejszą jest w sprawie policyjnej władza instytucjonalna – policjanci ją posiadają i z niej korzystają.

Związki zawodowe policjantów działają jak tarcza, która chroni siły odpowiedzialne za agresję, atakowanie pracowników i protestujących. Ruch pracowniczy nie będzie się więc solidaryzował z własnym katem, rozbijającym solidarność proletariatu. Dlatego właśnie policjanci nigdy nie będą częścią naszego ruchu. Niech nasze analizy i tekst, niczym młody Hegel, kiełkują w wielkie drzewa wolności pracowniczej!

EDUKACJA SEKSUALNA WEDŁUG EMMY GOLDMAN



Tomek

Emma Goldman jest postacią, której anarchistkom i anarchistom nie trzeba przedstawiać. Nieocenione zasługi żydowsko-amerykańskiej działaczki i myślicielki dla niezależnych ruchów rewolucyjnych na całym świecie są niezwykle duże. Myśl polityczna i aktywizm Emmy obejmuje nie tylko najpowszechniej przypisywany jej anarchofeminizm. W dobie świtu idei syndykalistycznych słowem i czynem stawała za strajkującymi robotnikami, a jako orędowniczka ruchu anarchistycznego na całym świecie relacjonowała i opisywała wydarzenia związane z jego rozwojem (rewolucja październikowa i machnowszczyzna czy wojna domowa w Hiszpanii to tylko niektóre z wymienionych). Goldman jako racjonalistka występowała w tekstach filozoficznych ze stanowiska ateistki, a jako antymilitarystka otwarcie sprzeciwiała się przymusowemu poborowi do wojska.

KOBIECOŚĆ, SEKSUALNOŚĆ, WOLNOŚĆ

Tym, o czym jednak chciałbym tu przypomnieć, jest rola „Czerwonej Emmy" dla edukacji. Historia wychowania uczy nas, że pedagogiem jest każda postać, która na wychowanie miała wpływ, bez względu na to, kim była z zawodu czy wykształcenia. Wśród wielu zajęć, jakich imała się ta dzielna postać, nie znajdziemy w jej biografii etapu pracy nauczycielki czy etatowej wychowawczyni, choć (co istotne), w latach 90. XIX w. pracowała jako opiekunka dziecięca oraz położna wśród kobiet z dzielnic robotniczych. Poruszona losem i nędzą kobiet z rodzin robotniczych na początku nowego stulecia przemycała z Francji środki antykoncepcyjne. Wkład Emmy Goldman w wychowanie ku wolności jest ogromny.

Wolność człowieka nie może istnieć bez wolności seksualnej. Ta zaś przejawiać się może w wielu aspektach. W swobodzie decydowania o swoim ciele i jego funkcjach czy wolności wyboru partnerki/partnera zgodnie z osobistymi preferencjami. Jej najwyższym wyrazem jest jednak wiedza o tym, jak używać własnej seksualności w sposób odpowiedzialny, a zarazem szczęśliwy i nie skrępowany sztucznymi normami narzuconej (pseudo) obyczajowości.

Przełom wieków XIX i XX był okresem niezwykle trudnym dla propagowania takich idei. Z drugiej jednak strony czas masowych buntów robotniczych, zbrojnych działań anarchistycznych w imię idei „propagandy czynem", kolejnych upadających monarchii, był idealnym polem do rewolucyjnych zmian w sferze obyczajowej. Jak pisał znany włoski insurekcjonista Alfredo Bonanno, Emma Goldman właściwie cały swój anarchizm zbudowała na byciu kobietą. Czas, w którym rola kobiety była sprowadzona do niewolnicy rodziny robotniczej, bycia matką, żoną, kucharką i sprzątaczką bez złamanego grosza za pracę w domu, nie stawiał żadnej z kobiet w korzystnej pozycji do zabierania głosu w sprawach istotnych dla decydowania o sobie samej. To właśnie kobiecość Emmy Goldman, jej walka o poprawę losu kobiet sprawiła, że za jeden z wielu celów swojej działalności piórem i czynem obrała sobie rozpowszechnianie potrzebnej wiedzy o ludzkiej seksualności.

SPRAWA MARGARET SANGER

Rok 1873 przyniósł Stanom Zjednoczonym fatalny w treści i skutkach szereg aktów prawnych zwanych „The Comstock Laws" od ich pomysłodawcy – moralisty i konserwatysty Anthony'ego Comstocka. Obejmował on szereg zakazów wszelkich „niemoralnych" praktyk i miał na celu podtrzymywanie tego, co dziś z perspektywy czasu zwiemy moralnością wiktoriańską. Zakazem obejmował m.in. antykoncepcję, środki wczesnoporonne, „obsceniczne" treści w listach i książkach czy nawet „zabawki" dla dorosłych… Prawo to zabraniało również dystrybucji pocztą wyżej wymienionych rzeczy oraz jakichkolwiek informacji na ich temat. Sam Anthony Comstock był wysokiej rangi urzędnikiem pocztowym. Zakazem rozpowszechniania informacji o antykoncepcji prawo obejmowało nawet lekarzy. Smutną ciekawostkę stanowi fakt, iż ten stek absurdalnych paragrafów – mimo wielu zmian i poprawek w kodeksach prawnych poszczególnych stanów – tworzył sporą część prawa obyczajowego Stanów Zjednoczonych aż do 1957 r. Wskutek tych zapisów ucierpiało wielu niewinnych ludzi niesłusznie dotkniętych represjami państwowymi.

Jedną z wielu takich postaci była Margaret Sanger – nowojorska pielęgniarka i reformatorka medycznego podejścia do antykoncepcji, aborcji i świadomego rodzicielstwa. W 1914 r. na podstawie wspomnianych Comstock Laws została aresztowana za głoszenie „niemoralnych" treści dotyczących edukacji seksualnej w prowadzonym przez siebie periodyku „The Woman Rebel". Podczas oczekiwania na proces udało się jej jednak zbiec do Europy.

Mimo represji, jakie dotykały Margaret Sanger, jej działalność była owocna. Założyła pierwszą klinikę świadomego rodzicielstwa w Stanach Zjednoczonych oraz szereg innych inicjatyw, będących podstawą do powstania Amerykańskiej Federacji Planowanego Rodzicielstwa (Planned Parenthood Federation of America). Choć samej Sanger przypisuje się pionierską rolę w promowaniu edukacji seksualnej dorosłych, mało mówi się o współudziale Emmy Goldman w propagowaniu głoszonych przez nią treści. Dość wspomnieć, że dziesięć lat starsza Emma była jej mentorką i nauczycielką w temacie świadomej i szczęśliwej seksualności. W liście do młodszej towarzyszki Goldman wspominała, że na jej wykładach najlepiej sprzedawał się prowadzony przez Sanger magazyn „The Woman Rebel".

Jak to jednak bywa w przypadku anarchistów, przez wielu rewolucjonistów są traktowani marginalnie, tak więc w bardziej dostępnych źródłach na temat dzieła życia Margaret Sanger niewiele znajdziemy o „Czerwonej Emmie". Sama uczennica w pewnym momencie życia postanowiła odciąć się od współpracy z anarchistami, w tym ze swoją mentorką, co zaowocowało zerwaniem kontaktów między obiema kobietami.

ARESZT ZA WYKŁADY

Dwa lata później, w 1916 roku, Emma Goldman została aresztowana pod zarzutem łamania praw obyczajowych za rozpowszechnianie treści o kontroli urodzeń, metodach antykoncepcji i innych tematach związanych z edukacją seksualną, które wygłosiła w wykładzie dla tłumu ponad pięciuset robotników branży odzieżowej – głównie mężczyzn. Nie było to dla niej nic nowego. Za treści, które głosiła publicznie nieraz bywała aresztowana. Godnym uwagi jest fakt, że w tym przypadku została aresztowana w drodze na swój wykład o ateizmie. Służby państwowe – przypadkiem lub nie – w pewnym sensie upiekły dwie pieczenie na jednym ogniu. Ciekawostkę w tym kontekście stanowi fakt, iż rekordzistą w odbywaniu odsiadek w aresztach za „przewinienia" związane z łamaniem Comstock Laws był Ben Reitman – jeden z życiowych partnerów Emmy Goldman i jej współpracownik – również żydowski anarchista, lekarz, adwokat swobody seksualnej i wolności słowa. Świadczył opiekę medyczną prostytutkom, włóczęgom i innym odrzuconym członkom społeczeństwa amerykańskiego.

EDUKACJA SEKSUALNA A KAPITALIZM

W tekście „The Social Aspects of Birth Control" Goldman pisała o zagrożeniu przeludnieniem jako dalszym podtrzymywaniem kapitalistycznego porządku, gdzie mniejszość rządzi większością. Zaznaczała również w nim, że bez edukacji seksualnej obecnych i przyszłych rodziców nie zniknie problem kazirodczych związków wśród rodzin robotniczych, który poprzez niepełnosprawności rodzonych dzieci wpędza najuboższe warstwy społeczeństwa w jeszcze większą biedę. Liczne, wielodzietne rodziny, których jedynym żywicielem często był marnie zarabiający ojciec, były powszechnym zjawiskiem w epoce kwitnącego przemysłu. Emma nazwała liczną rodzinę do utrzymania „pętlą u szyi" dla ojca – robotnika. W kontekście tak cennego dla ówczesnych kapitalistów wyżu demograficznego, problem wojen i militaryzacji świata ujęła następująco: „Kapitalizm nie da sobie rady bez militaryzmu i odkąd masy ludzkie zapewniają materiał do samozagłady w okopach i na polach bitew, kapitalizm będzie trwał jeszcze długo".

DZIEDZICTWO „CZERWONEJ EMMY".

Po Goldman, oprócz licznych pism (książek, listów, zapisów przemów i wykładów), pozostała żywa spuścizna w postaci ludzi działających w duchu jej idei. Jednym z wielu przykładów jest ośrodek zdrowia Emma Goldman Clinic w Iowa City (w stanie Iowa) w USA. Przychodnia ta świadczy opiekę ginekologiczną, usługę bezpiecznej aborcji, badania na obecność chorób zakaźnych przenoszonych drogą płciową oraz zindywidualizowaną opiekę medyczną dla osób transpłciowych lub zmagających się z problemem dysforii płciowej. Najbardziej godnym uwagi przykładem dobrych praktyk promowania wiedzy o świadomej seksualności jest dział zwany Teen Clinic przeznaczony dla nastolatków. Poświęcony jest zarówno opiece medycznej, jak i edukacji seksualnej młodych.

ując, stwierdzam iż w czasach coraz większego szaleństwa władzy, próbując „zakazywać" tego, czego właściwie nie ma – edukacji seksualnej w szkołach oraz dostępu do aborcji, postać Emmy Goldman daje nam przykład, że zawsze warto walczyć. W jej czasach wielu ludzi podobnych do niej przypłaciło własną wolnością lub życiem głoszenie prawd o tym, co dla człowieka najbardziej naturalne – jego własnej seksualności. Niech pamięć o Emmie żyje wśród nas szczególnie teraz.

***

Informacje o Emma Goldman Clinic znajdują się na oficjalnej stronie: https://emmagoldman.com



„REPRESJA ISTNIEJE. TO NIE SCIENCE FICTION”

W połowie lutego 2021 roku szokujące zdjęcie 19-letnej Hiszpanki z zakrwawioną twarzą obiegło media i sieć. Dziewczyna straciła oko w wyniku uderzenia gumową kulą wystrzeloną przez katalońską policję. Doszło do tego w Barcelonie podczas demonstracji przeciw uwięzieniu Pablo Haséla. Od tygodni w wielu miastach, nie tylko w Hiszpanii, organizowane są protesty, w których ludzie domagają się uwolnienia rapera oraz przywrócenia wolności słowa. Czas pokaże, czy Hasélowi i wspierającym go aktywistom uda się poddać w wątpliwość ciągle tę samą „oficjalną” narrację o agresywnej, zblazowanej młodzieży, która niszczy, co się da i podpala posterunki policji. Pandemia, pogłębiający się kryzys oraz coraz bardziej bezwzględne działania represyjnego aparatu państwowego mogą okazać się nie bez znaczenia.

Agnieszka Latos

Hiszpański raper Pablo Hasél, a właściwie Pablo Rivadulla Duró, jest w więzieniu w Lleidzie od 16. lutego 2021 r. Jego aresztowanie odbyło się w spektakularny sposób. Mimo iż hiszpańska policja nie może wchodzić na teren uniwersytetów bez pozwolenia ze strony władz uczelni, cały oddział katalońskiej policji Mossos d’Esquadra wtargnął na uniwersytet w Lleidzie, gdzie Pablo Hasél (wraz ze znajomymi aktywistami i aktywistkami), zabarykadował się po tym, jak upłynął termin, w którym miał dobrowolnie oddać się w ręce policji. Jego aresztowanie wywołało ogromną falę protestów w całej Hiszpanii, które mimo brutalnego tłumienia przez policję oraz licznych zatrzymań i aresztowań trwają do dziś. W sobotę 6. marca odbyły się kolejne demonstracje w wielu miastach Katalonii, m.in. w Barcelonie, Gironie, Sabadellu.

BYŁ SOBIE RAPER

Kim jest Pablo Hasél i dlaczego został aresztowany? Sam definiuje siebie jako rapera politycznego, komunistę rewolucyjnego, republikanina, aktywistę walczącego o prawa więźniów politycznych. Jego problemy zaczęły się w 2011 roku, kiedy został aresztowany za wykonanie utworu „Democracia su Puta Madre” (Demokracja, gówno prawda), w którym rzekomo wyraża pochwałę dla Camarda Arenas (eks-sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Hiszpańskiej [CPE] i więźnia politycznego od 1977 do 1984, aresztowanego ponownie w 2000; zob. niżej) i gloryfikuje Grupy Oporu Antyfaszystowskiego 1 Października (GRAPO, organizację uznaną za terrorystyczną w Hiszpanii oraz m.in. przez Unię Europejską). Aresztowaniu towarzyszyły przeszukania oraz skonfiskowanie rzeczy osobistych, należących także do członków rodziny. Po zwolnieniu warunkowym za kaucją Hasél kontynuuje twórczość artystyczną i aktywizm. W 2014 roku sąd uznaje go winnym i skazuje na więzienie za gloryfikację terroryzmu w tekstach utworów (art. 578 kodeksu karnego). Sąd Apelacyjny odrzuca odwołanie Haséla i w 2015 roku wyrok staje się prawomocny. W 2017 roku prokuratura żąda dodatkowej kary nie tylko za gloryfikację terroryzmu, ale również za obrazę monarchii (art. 491 kodeksu karnego o „obrazie Korony”) oraz znieważenie instytucji państwowych.

W ostatnich latach aż 14 artystów w Hiszpanii otrzymało wyroki sądowe wynikające z drastycznego ograniczania wolności słowa w tym kraju. Pablo Hasél jest jedynym raperem, który – poza publicznym potępieniem niesprawiedliwości społecznej i nadużyć ze strony rządzących, skandali finansowych oraz korupcji i bezkarności członków rodziny królewskiej – tak konsekwentnie i na taką skalę walczy z ograniczeniem wolności słowa w Hiszpanii. Nie opuścił kraju, aby uniknąć więzienia, mimo iż władze pozwalały mu na przekroczenie granic (np. wyjazd do Wenezueli w 2019 r.), co było niekompatybilne z jego statusem prawnym (wyrok w zawieszeniu i obowiązek zgłaszania się na policję). Być może ta „otwarta furtka” dla Haséla – persony non grata – nie była jedynie niedopatrzeniem? Jak sam twierdzi, to nie opinie, ale obiektywne fakty przedstawione są w jego utworach. Opowiedział o tym również przed Komisją Unii Europejskiej, do której apelował w sprawie otrzymanego wyroku.

DEMOKRACJA, GÓWNO PRAWDA (ORYG. DEMOCRACIA, SU PUTA MADRE)

Pablo Hasél jest w więzieniu za swoje teksty, ale bardzo rzadko się o nich mówi i prawie w ogóle nie przywołuje się ich treści. Poniżej zamieszczamy tłumaczenie utworu „Demokracja, gówno prawda” (tłumaczenie moje). Jego ukazanie się w 2011 roku znaczy początek represjonowania i prześladowań Pablo Haséla, uznanego za apologetę terroryzmu i wroga demokracji w Hiszpanii. Tekst oryginalny dostępny jest w sieci. Oceńcie sami i same:

„Represja istnieje. To nie science fiction. Rzeczywistość jest smutna. Nie uciszysz mnie, draniu! Ponieważ prawda jest tym, co najbardziej boli ciemiężyciela. Cenzura nie wyleczy ze snu o lepszym świecie. Kraty nie zamilkną, to oczywiste dowody prawdy. (...) nas opuszcza, ale pozostaje w waszych mózgach [aluzja prawdopodobnie do króla Juana Carlosa, który uciekł z kraju z powodu skandali finansowo-korupcyjnych abdykując na rzecz syna Felipe VI – komentarz tu i dalej: Agnieszka]. Coraz mniej ludzi wierzy w bajkę o tym systemie, ale wszystko pozostaje bez zmian i to nas wypala. Dosyć już tych absurdalnych wyroków i wolnych (...). [aluzja prawdopodobnie do faszystów]. Wolność dla Manuela Arenasa i dla tego, kto o tym mówi. [Manuel Pérez Martínez alias Camarada Arenas, eks-sekretarz generalny Hiszpańskiej Partii Komunistycznej i więzień polityczny. Został oskarżony za rzekomy udział w organizacji GRAPO (Grupy Oporu Antyfaszystowskiego 1 Października) i za niepowstrzymanie jej działań terrorystycznych. W trakcie procesu oświadczył, że nie miał nic wspólnego z walką zbrojną GRAPU. Mimo to został skazany na 22 lata więzienia, w którym z przerwami przebywa do dnia dzisiejszego]. Koniec demokratycznych przebieranek i obłudnych sloganów „Pokój dla świata i nie zabijaj”. Nie zapomnimy o sprzedaży broni syjonistycznym kanaliom. Ta broń zabija dzieci a oni dostają medale. Wnoszę toast za śmierć właścicieli TTs [międzynarodowa korporacja oferująca usługi sprzątania]. Niech idą do piekła wywoływać stres spowodowany niemożnością wiązania końca z końcem. Tutaj rządzi propaganda, a tworzy ją ten, kto jest przy władzy. Ale my mamy logikę, to ważna broń. Nie oszukają mnie ich mamony. Ci, którzy kradną, są dobrze widoczni. Widzę, jak w szkołach produkuje się egoistów. Nie rozumiem dlaczego nie wychodzi się poza ten scenariusz, edukacja jest przecież podstawą każdego rewolucjonisty. To kolejna kolonia USA. Walcz, nie szukaj wymówek!

Oto prawdziwi terroryści; polityka, którą napędza rząd. Dosyć tego masochizmu, ciszy, współsprawstwa. Jeśli stworzymy otchłań, to ona ich wciągnie. Dziel i rządź, zastosowali to perfekcyjnie, tak że podzielona lewica zapomniała, co znaczy ‘rządź’. Jeśli nic się nie da zmienić, musisz się bardziej wkurzyć. Wolę być wyrzutkiem niż żyć jak niewolnik. Przeprosiny za terroryzm, metoda dwupartyjności, tak aby mogli nas trzymać w niewoli ciągli ci sami ludzie. I dosyć z prześladowaniami wszystkich młodych, którzy walczą. Chcieliby, żebyśmy myśleli tylko o samochodach i drinkach. Wychodzę na ulicę i nie widzę raju, o którym nam tak barwnie opowiadają. Czyżby go pochłonęły ich wille z basenami? Wkurza ich, że niektórzy z nas pragną wyeliminować niesprawiedliwość, podczas gdy oni spełniają wszelkie pragnienia pazernych bogaczy. Posłuchasz mnie, rapera z sumieniem, i nie podoba ci się to. Ponieważ jeszcze bardziej cię udupi (...). Przywołuję fakty. (...) uśmiecha się obłudnie do idiotów, oddanych wyznawców ich religii. Santos, powiem Ci po katalońsku: dziś nikt nie żyje. I ta hipokryzja wielu czerwonych prostaków, którzy milczą i pasą swe brzuchy, podczas gdy inni cierpią. Chodzi o to, żeby czuć krzywdy innych jak własne, bo jak skrzywdzą ciebie, to wtedy ty będziesz ich nienawidził.

Represja istnieje. To nie science fiction. Rzeczywistość jest smutna. Nie uciszysz mnie, draniu! Ponieważ prawda jest tym, co najbardziej boli ciemiężyciela. Cenzura nie wyleczy ze snu o lepszym świecie. Kraty nie zamilkną, to oczywiste dowody prawdy. (...) nas opuszcza, ale pozostaje w waszych mózgach. Coraz mniej ludzi wierzy w bajkę o tym systemie, ale wszystko pozostaje bez zmian i to nas wypala. Dość absurdalnych wyroków i wolnych (...). Okazuje się, że walka o świat, w którym nikt nie cierpi z powodu głodu, to przestępstwo. Przestępstwem jest walczyć o przyszłość i nie wierzyć w to, że można być zbawicielem, finansując organizacje pozarządowe, mniej przejrzyste niż potrójny mnożnik Zaplana [ekspolityk hiszpański Sojuszu Ludowego (AP), Unii Demokratycznego Centrum, UCD, Partii Ludowej (PP), później członek rady nadzorczej korporacji Telefonika, aresztowany w 2018 w operacji ERIAL za malwersacje finansowe, w tym pranie brudnych pieniedzy, wypuszczony na wolność w tym samym roku]. Okradanie ludzi w imię demokracji to żarty w bardzo złym guście, a u góry wielu bije im brawa. Syndrom sztokholmski powodem tego rozkładu moralnego. To już przegięcie, do cholery! Żaden frajer w to nie uwierzy. Niedorozwinięci bez ideałów pytają: Gdzie chodzisz na dyskotekę?”.

* * *

Jeśli pragniecie wyrazić wsparcie, oto adres: Pablo Rivadulla Durò, Modulò 9, Centro Penitenciario de Ponent C/Victoria Kent S/N 25071 Lleida, Hiszpania.

Hasta la victoria siempre!

Komentarz redakcji: Zainteresował nas artykuł podesłany przez autorkę przede wszystkim dlatego, że jako anarchiści jesteśmy przeciwko karaniu ludzi za krytykę władzy – w tym za tę wyrażoną w przekazie artystycznym. Będziemy zawsze solidaryzować się takimi osobami, choć nie zawsze nam po drodze z wyborami ideologicznymi Pablo Haséla, o których pisze autorka.



GŁOS PRACOWNIKÓW W KOŃCU BĘDZIE SŁYSZALNY

ROZMOWA Z MIŁOSZEM, INICJATOREM POWSTANIA KOMISJI ZAKŁADOWEJ OZZ INICJATYWA PRACOWNICZA PRZY FIRMIE JEREMIAS SP. Z O.O. W GNIEŹNIE.

A-tak: Skąd pomysł na założenie związku zawodowego?

Miłosz: Pierwszy raz hasło „związek zawodowy" z moich ust padło na przełomie października i listopada 2020 roku. Rzuciłem je podczas luźnej rozmowy na hali, opowiadając kilku pracownikom mój sen w formie żartu... że założyłem związek w akcie desperacji i wołania o pomoc. Nie ma co ukrywać, że wydarzenia ostatnich miesięcy odcisnęły piętno na mnie i znakomitej większości pracowników. Każdy dzień w pracy przynosił jakieś sytuacje, które rodziły ogólnie pojętą bezradność i frustrację. Tak też było podczas zmiany, którą prowadziłem w dniu poprzedzającym ów sen, a co ostatecznie spowodowało, że balon pękł. A co się stało? Mój przełożony zadzwonił do mnie, że „na kamerach" dostrzeżono osobę-pracownika, która nie ma pracy i z jej braku chce popełnić samobójstwo. Proszę sobie wyobrazić, co poczułem słysząc takie słowa? Oczywiście momentalnie znalazłem się w miejscu śledzonym przez kamerę i zobaczyłem, że wszyscy są na swoich stanowiskach i pracują. Chyba to ten moment uruchomił ostatecznie przekonanie, że przekroczono już wszelkie granice i tak dalej być nie może.

Od tego czasu, co parę dni, moje myśli wciąż krążyły wokół tego tematu. Równolegle pracując na produkcji, coraz częściej spotykałem się z tym, że pracownicy produkcyjni żalili i skarżyli się na sposób traktowania ich ze strony dozoru. Oczywiście nie można tu generalizować, ale tak naprawdę od lat postrzegano pracowników jako własność firmy, traktowano bez szacunku, regularnie obrażano i nakłaniano do pracy praktycznie non stop. Co w efekcie rozbijało i niszczyło jakiekolwiek przejawy indywidualnego myślenia. Wyglądało to trochę tak, jakby systemowo próbowano rozbić jedność kilkuset wysoko wykwalifikowanych pracowników. Składając te wszystkie wydarzenia, zasłyszane opinie i stwierdzenia, poczułem, że to jedyne wyjście i podjąłem decyzję o wsparciu powstania związku zawodowego.

Skąd dowiedziałeś się o IP i dlaczego akurat ten związek?

O Inicjatywie Pracowniczej dowiedziałem się z internetu. Zacząłem od wpisania frazy „jak założyć związek zawodowy" i napotkałem na wiele znanych mi związków i organizacji. Będąc jednak przekonanym, że potrzebujemy nowoczesnej centrali pozbawionej powiązań politycznych, centrali bezkompromisowej w walce o prawa pracownicze i dynamicznie reagującej na bieżące wydarzenia, trafiłem na stronę OZZIP. Dziś już wiem, że wybór nie mógł paść lepiej. Mam wsparcie osób działających z pasją i energią, które od pierwszego dnia istnienia związku prowadzą nas przez najtrudniejsze chwile.

Jakie wiążecie nadzieje z założeniem związku w twoim zakładzie i co chcielibyście zmienić?

Wiążemy oczywiście potężne nadzieje związane z powstaniem komisji. Podstawowa i ogólna to ta, że głos pracowników w końcu będzie słyszalny. Nasze trzy główne postulaty to w skrócie: traktujcie nas z szacunkiem, pozwólcie spędzić urlop wspólnie z rodziną, zapłaćcie godnie za naszą pracę. Oczywiście to, co już się dzieje, a wcześniej nie miało miejsca, to powstawanie nowych relacji między pracownikami. Do tej pory ludzie mogli ze sobą pracować przez wiele lat, ale przez fakt, że atmosfera w pracy była bardzo napięta i wszyscy byli pod ciągłą presją, każdy ze spuszczoną głową wykonywał swoje zadania, licząc, że dziś nie będzie zaczepiony przez kierownika. I choć teraz wciąż jesteśmy obserwowani, to coraz częściej można spotkać uśmiechające się do siebie osoby, które poczuły, że coś zaczyna się zmieniać na lepsze. Mam nadzieję, że ta tendencja się utrzyma i szybko nadrobimy stracony czas.

Jak zareagowali pracownicy oraz dyrekcja?

Odzew i reakcja pracowników była pełna entuzjazmu i nadziei na to, że sprawy będą się miały lepiej. Także po reakcjach, zaangażowaniu i odezwie na Facebooku można z czystym sumieniem powiedzieć, że to, co się dzieje, przeszło najśmielsze oczekiwania. Co do reakcji dyrekcji nie możemy powiedzieć nic złego. Nie było próby rozbicia związku na początku jego powstania czy jakiegokolwiek zastraszanie jego pierwszych członków – co bardzo doceniamy.

Najbliższe plany i czego wam życzyć w działalności związkowej?

Jeśli chodzi o najbliższe plany, to jest to wybór prezydium. Musimy także nadrabiać wiedzę o roli związków zawodowych w dzisiejszym świecie, ponieważ mamy tutaj duże zaległości. Systematycznie rośnie ilość członków, setki osób również spoza Jeremias trzyma mocno kciuki i kibicuje tej niezwykłej mobilizacji pracowników. Myślę, że najlepszym życzeniem będzie, aby to, co już się rozpoczęło, trwało i przynosiło coraz więcej realnych zmian na plus w naszej codziennej pracy.

Rozmawiał Edward,
a małej korekty dokonała Arya



TEORIA, IDEOLOGIA I PRAKTYKA POLITYCZNA: „HUERTA GRANDE" FAU

Wstęp od Federación Anarquista Rosa Negra (ang. Black Rose Anarchist Federation, pol. Federacja Anarchistyczna Czarna Róża): „Huerta Grande" („Wielki Sad") napisano w 1972 roku jako wewnętrzny dokument dyskusyjny Urugwajskiej Federacji Anarchistycznej, tuż po tym jak guevarystowska grupa Tupamaros poniosła klęskę ze swoją zbrojną strategią, a przed brutalnym zamachem wojskowym w czerwcu 1973 roku. Tekst analizuje naturę teorii i strategii, stwierdzając, że podstawowym aspektem rewolucyjnej organizacji politycznej jest głębokie zrozumienie rzeczywistości materialnej na podstawie praktycznej teorii i politycznego praxis (rzeczywistego działania – red.). Może nie jest to zbyt nowatorska myśl, mimo to publikacja miała głęboki wpływ na anarchizm Ameryki Łacińskiej i stała się najważniejszym dokumentem idei Especifismo.

Urugwajska Federacja Anarchistyczna, znana jako FAU (Federación Anarquista Uruguaya – red.), została założona w 1956 roku i była pierwszą organizacją promującą koncept Especifismo (zob. „A-tak", nr 12, 2019, s. 19 – red.). Celem FAU była koordynacja bojowników według strategii „włączenia społecznego", polegającego na współpracy w obrębie, jak i tworzeniu masowych organizacji. Pośrednią intencją była zaś budowa potęgi tych grup, umożliwiająca powstanie w przyszłości szerokiego ruchu wolnościowego, który mógłby zerwać z państwem. W latach 60. aspekt organizacyjny był kluczowy podczas powoływania do życia urugwajskiego CNT (krajowej konfederacji handlowej, która zrzeszała 90% związków zawodowych), Robotniczo-Studenckiego Oporu (ROE – federacji bojowych grup pracowniczych i studenckich, liczących łącznie około 12 tysięcy członków) oraz zbrojnego ramienia FAU – OPR-33. W ciągu ostatnich dwóch dekad FAU wspomaga powstawanie wielu podobnych organizacji anarchistycznych w Brazylii, Argentynie i Chile, inspirując także grupy z całego świata.

Uwaga na marginesie: korzystanie z terminu „partia" jest zgodne z tym, w jaki sposób był on stosowany przez Errico Malatestę jako synonim organizacji politycznej: „przez słowo partia mamy na myśli wszystkich, którzy są po tej samej stronie, tj. tych, którzy podzielają te same aspiracje i, w taki czy inny sposób, walczą o jeden cel ze wspólnymi wrogami".

„HUERTA GRANDE"

Aby zrozumieć, co się dzieje, konieczne jest prawidłowe myślenie. Prawidłowe myślenie zaś oznacza uporządkowanie i adekwatne traktowanie danych o rzeczywistości, które są produkowane w ogromnych ilościach.

Właściwe rozumowanie jest warunkiem koniecznym do prawidłowej analizy tego, co dzieje się w danym kraju, w danym momencie jego historii lub historii innego państwa. Wymaga to odpowiednich instrumentów. Narzędziami do osiągnięcia naszego celu są pojęcia, a żeby myśleć spójnie, potrzebny jest szereg terminów ściśle ze sobą powiązanych. Potrzebny jest więc system pojęć, teoria.

Bez teorii ryzykuje się rozpatrywanie każdego problemu indywidualnie, w oderwaniu od innych, wychodząc od punktów widzenia, które w każdym przypadku mogą być inne albo rozpatrując je na podstawie subiektywizmu, domysłów, prezentacji itp.

Partia była w stanie uniknąć poważnych błędów, ponieważ byliśmy w stanie myśleć w oparciu o koncepcje, które mają wysoki poziom spójności. Popełniała też poważne błędy z powodu niedostatecznego rozwoju naszego myślenia teoretycznego jako organizacji. Aby zaproponować program, musimy znać rzeczywistość gospodarczą, polityczną i ideologiczną naszego kraju. To samo jest konieczne, aby stworzyć linię polityczną, która będzie wystarczająco jasna i konkretna. Jeśli mamy niepełną lub błędną wiedzę, nie będziemy mieli programu, a jedynie bardzo ogólną linię, trudną do realizacji we wszystkich przestrzeniach, w obrębie których porusza się partia. Jeśli nie ma jasnej linii, nie ma skutecznej praktyki politycznej. Polityczna wola partii ryzykuje wtedy rozmycie, „woluntaryzm" w działaniu staje się robieniem wszystkiego, co popadnie, z czystej dobrej woli, ale nie determinuje wyniku wydarzeń, bazując na niedokładnych przewidywaniach. Jesteśmy zdeterminowani przez nie [wydarzenia] i przez nie działamy spontanicznie.

Bez konkretnej wykładni teoretycznej organizacja – organizacja, choćby nie wiadomo jak wielka – będzie oszołomiona okolicznościami, na które nie ma wpływu i których nie jest w stanie pojąć. Linia polityczna wymaga programu, rozumianego jako cele, które mają być osiągnięte na każdym etapie. Program wskazuje, które siły są sprzyjające, które są wrogie, a które są tylko chwilowymi sojusznikami. Ale żeby to wiedzieć, musimy znać dogłębnie rzeczywi-

BLACK ROSE ANARCHIST FEDERATION
FEDERACIÓN ANARQUISTA ROSA NEGRA

stość kraju. Dlatego zdobycie tej wiedzy jest teraz zadaniem o najwyższym priorytecie. A żeby to wiedzieć, potrzebujemy teorii.

Partia potrzebuje jasnego obrazu, aby móc myśleć w sposób spójny o kraju i regionie oraz o zmaganiach międzynarodowych ruchów robotniczych na przestrzeni dziejów. Musimy dysponować skutecznymi ramami, które pozwolą nam uporządkować i uszeregować rosnącą masę danych dotyczących naszej rzeczywistości gospodarczej, politycznej i ideologicznej.

Musimy mieć metodę analizowania tych danych, aby zobaczyć, które z nich są ważniejsze, jak je uszeregować, aby właściwie zmobilizować nasze siły. Schemat koncepcyjny, który pozwala nam połączyć jedną rzecz z drugą w sposób systematyczny, jest niezbędny dla realizacji naszych celów. Taki schemat musi umożliwiać czerpanie inspiracji z wykorzystaniem opracowanych koncepcji dla grup działających w innych realiach.

Ale pracę poznania naszego kraju musimy wykonać sami, bo nikt za nas tego nie zrobi.

Nie proponujemy wymyślania teoretycznych schematów od podstaw. Nie zamierzamy tworzyć nowych idei i wszystkich jej odgałęzień. Powodem tego jest ogólne zacofanie środowiska i jego wyspecjalizowanych instytucji oraz nasz brak dyspozycyjności, by podjąć się tego zadania.

Dlatego musimy przyjmować teorię tak, jak jest ona opracowywana, krytycznie ją analizując. Nie możemy ślepo przyjmować każdego konceptu bez krytycyzmu, tak jakby był dogmatem.

Chcemy dokonać całkowitej transformacji naszego kraju i nie przyjmiemy jako sposobu myślenia teorii stworzonej przez burżuazję. Stosując się do burżuazyjnych konceptów, będziemy myśleć tak, jak burżuazja chce, żebyśmy myśleli.

Chcemy studiować i myśleć o Urugwaju oraz całym regionie jako rewolucjoniści. Dlatego spośród elementów, które są częścią różnych nurtów socjalistycznych, będziemy zawsze przyjmować te, które pomagają nam w realizowaniu tego założenia.

Nie przyjmiemy jakiejś teorii tylko dlatego, że jest modna. Powtarzanie „cytatów" ludzi pochodzących z odmiennych miejsc i czasów, odnoszących się do zupełnie innych sytuacji i problemów nie jest teorią. Tylko szarlatani posługują się nią w ten sposób.

Teoria jest instrumentem, narzędziem, które służy pewnemu celowi. Istnieje po to, by osiągnąć wiedzę, której potrzebujemy. Pierwszą rzeczą, na której nam zależy, jest nasz kraj. Jeśli teoria nie jest w stanie przedstawić nam nowych informacji, pomocnych w praktyce politycznej, jest całkowicie bezużyteczna, stanowi jedynie temat do jałowego bełkotu, bezowocnych ideologicznych polemik.

Ktoś, kto kupuje wielką, nowoczesną maszynę i, zamiast na niej pracować, spędza całe dnie na gadaniu o niej, nie wykorzystuje jej właściwie, jest szarlatanem. Podobnie jak ten, który mając do dyspozycji maszynę, woli wykonać daną pracę ręcznie, bo „tak to się kiedyś robiło...".

RÓŻNICE MIĘDZY TEORIĄ A IDEOLOGIĄ

Należy zwrócić uwagę na kilka różnic między tym, co zwykło się nazywać teorią a ideologią.

Celem teorii jest wypracowanie instrumentów pojęciowych, służących do rygorystycznego myślenia i dogłębnego rozumienia konkretnej rzeczywistości. W tym właśnie sensie można mówić o teorii jako o odpowiedniku nauki.

Ideologia natomiast składa się z elementów o charakterze nienaukowym, nadających dynamizm działaniu opartemu na okolicznościach, które, choć mają coś wspólnego z warunkami obiektywnymi, nie wynikają z nich ściśle. Ideologię uformowały warunki obiektywne, lecz nie jest przez nie mechanicznie zdeterminowana.

Dogłębna i ścisła analiza konkretnej sytuacji, w jej realnych i obiektywnych warunkach, jest analizą teoretyczną, opartą na podstawach naukowych. Wyrażanie motywacji, proponowanie celów, aspiracji, stanu końcowego, idealnego – wszystko to należy do dziedziny ideologii.

Teoria dopracowuje i definiuje elementy warunkujące działania polityczne, podczas gdy ideologia motywuje, stymuluje i konfiguruje swoje „idealne" cele i styl.

Pomiędzy teorią a ideologią istnieje bardzo ścisły związek, gdyż propozycje tej drugiej opierają się na wnioskach płynących z analizy teoretycznej i są przez nie wspierane. Skuteczność ideologii jako motoru działania politycznego jest tak duża, jak mocno jest ona oparta na wnioskach teorii.



ZASIĘG PRACY TEORETYCZNEJ

Praca teoretyczna zawsze ma oparcie w rzeczywistych procesach, realiach historycznych, aktualnych wydarzeniach. Niemniej jednak, biorąc pod uwagę fakt, iż jest to czynność odbywająca się całkowicie w sferze myśli, żadne koncepty nie są bardziej prawdziwe od innych.

Warto zwrócić uwagę na dwa podstawowe stwierdzenia:

1. Istnieje rozróżnienie między istniejącą, konkretną rzeczywistością, między realnymi, historycznymi procesami a procesami wywodzącymi się z wiedzy i rozumienia tej rzeczywistości. Innymi słowy, koniecznym jest, aby dostrzec różnicę między bytem a myślą, między rzeczywistością taką, jaka jest, a tym, co możemy o niej wiedzieć.
2. Byt ma prymat nad myślą, rzeczywistość nad wiedzą. Oznacza to, że kolejność zdarzeń jest ważniejsza – ma większą wagę jako czynnik determinujący. Istotniejsze jest to, co się faktycznie wydarzyło, a nie to, myślimy lub wiemy o danej sytuacji.

Wychodząc od tych podstawowych założeń, należy zrozumieć do czego dokładnie zmierza praca teoretyczna, czyli wysiłek poznawczy, któremu przyświeca cel zdobycia ścisłej, naukowej wiedzy. Opiera się ona zawsze na z góry ustalonym surowcu. Teoria nie wyłania się z konkretnej rzeczywistości jako takiej, lecz z informacji, danych i wyobrażeń o tej rzeczywistości. Pierwotny materiał jest w procesie pracy teoretycznej obrabiany przez użyteczne pojęcia oraz instrumenty myślowe. Produktem tej obróbki jest wiedza.

Innymi słowy, istnieją tylko realne, konkretne i jednostkowe przedmioty (zdeterminowane przez sytuacje historyczne, społeczeństwa, czas). Proces pracy teoretycznej dąży do ich poznania. Czasami zmierza ona do obiektów abstrakcyjnych, nierealnych, istniejących jedynie w myśli, a jednak obiekty te są niezbędnymi narzędziami, warunkiem wstępnym do poznania obiektów rzeczywistych (na przykład pojęcie klas społecznych itp.). W zdobywaniu wiedzy surowy materiał (powierzchowne postrzeganie rzeczywistości) przekształca się w produkt (ścisłą wiedzę naukową na jej temat).

Termin „wiedza naukowa" musi być zdefiniowany w jego relacji do społecznych uwarunkowań. Przy tym uwzględnieniu oraz stosując skonkretyzowaną terminologię, nauka najlepiej przybliża nas do istniejących warunków.

Proces pojmowania rzeczywistości społecznej, podobnie jak każdego innego realnego przedmiotu badań, jest podatny na nieskończoną głębię teoretyczną. Tak jak fizyka, chemia oraz pozostałe dyscypliny mogą pogłębiać wiedzę w nieskończoność, tak też jest z naukami społecznymi. Dlatego nieadekwatne jest oczekiwanie „skończonej" wiedzy, aby zacząć działać na rzecz przemian społecznych. Tak samo nieadekwatna jest próba przeprowadzenia zmian bez dogłębnego poznania tematu.

Rzetelne informacje o strukturze społecznej osiąga się tylko poprzez pracę z faktami, danymi statystycznymi itp., za pomocą bardziej abstrakcyjnych instrumentów pojęciowych, ukonstytuowanych w teorii. Poprzez praktykę pracy teoretycznej dążymy do wytworzenia coraz to bardziej precyzyjnych i konkretnych narzędzi, prowadzących nas do poznania konkretnego obrazu otoczenia.

Tylko dzięki odpowiedniemu głębokiemu i naukowemu zrozumieniu na poziomie intelektualnym, można rozwinąć elementy ideologiczne (aspiracje, wartości, ideały itp.), które stanowią odpowiednie środki do przekształcenia rzeczywistości społecznej ze spójnością zasad i skutecznością praktyki politycznej.

POLITYCZNE PRAXIS I POZNANIE RZECZYWISTOŚCI

Skuteczna praktyka polityczna wymaga zatem: wiedzy o rzeczywistości (teoria), harmonijnego jej ujęcia z obiektywnymi wartościami transformacji (ideologia) oraz konkretnych środków politycznych służących osiągnięciu takiej transformacji (praktyka polityczna). Te trzy elementy łączą się w dialektyczną całość, która stanowi wysiłek na rzecz zmiany, do której dąży partia.

Ktoś mógłby zapytać: czy mamy czekać na skończony rozwój teoretyczny, żeby zacząć działać? Nie. Rozwój teoretyczny nie jest problemem akademickim, nie zaczyna się od zera. Powstaje, jest motywowany i rozwijany przez istnienie wartości ideologicznych oraz praktyki politycznej. Mniej lub bardziej poprawne bądź błędne, elementy te istnieją historycznie przed teorią i motywują jej rozwój.

Walka klasowa istniała na długo przed jej teoretyczną konceptualizacją. Walka wyzyskiwanych nie czekała na opracowanie dzieła teoretycznego. Jej istnienie poprzedza wiedzę o niej. Istniała zanim o niej wiedziano oraz przeprowadzono jakąkolwiek teoretyczną analizę.

Z tego podstawowego stwierdzenia wynika zatem, że fundamentalne i niezbędne staje się działanie. Tylko poprzez [praxis] możemy wypracować użyteczne ramy teoretyczne. Ramy, które nie są bezwartościowym nagromadzeniem abstrakcyjnych twierdzeń, posiadających pewną spójność w swojej wewnętrznej logice, ale pozbawionych jakiejkolwiek powiązań z rozwojem rzeczywistych procesów. Aby skutecznie teoretyzować, trzeba precyzyjnie działać.

Czy możemy pozbyć się teorii pod pretekstem pilnej potrzeby praktycznej? Nie. Może istnieć, powiedzmy, polityczne praxis oparte wyłącznie na kryteriach ideologicznych, a więc nieuzasadnione lub niedostatecznie uzasadnione odpowiednią analizą teoretyczną. To jest częste w naszym środowisku.

Nie da się stwierdzić, że w naszej rzeczywistości lub realiach regionu Ameryki [Łacińskiej] istnieje adekwatna analiza teoretyczna, to znaczy wystarczająco skonceptualizowane zrozumienie sytuacji. Obserwacja ta dotyczy również pozostałych obszarów naszej codzienności. Teoria jest dopiero w fazie początkowej. Jednak od dziesięcioleci toczy się walka, konfrontacja. To zrozumienie nie powinno prowadzić nas do lekceważenia fundamentalnego znaczenia pracy teoretycznej.

Na postawione wcześniej pytanie musimy więc odpowiedzieć: priorytetem jest praxis, ale to, jak skuteczna jest praktyka, zależy od bardziej skonkretyzowanej wiedzy.

W takich warunkach jak nasze, w formacji społecznej naszego kraju, rozwój teoretyczny musi rozpocząć się, jak wszędzie, od grupy sprawnych koncepcji myślowych, operujących na możliwie jak największym zasobie danych, które stanowić będą surowiec dalszego rozwoju koncepcji.

Informacje same w sobie, badane w izolacji, bez odpowiedniej obróbki konceptualnej nie reprezentują adekwatnie rzeczywistości. Stanowią one jedynie dekorację ideologii, w obrębie których faktom przypisuje się konkretne funkcje.

Pojęcia abstrakcyjne, same w sobie stanowiące odpowiednie tło informacyjne, nie dają również dalszej wiedzy o rzeczywistości.

Istniejące w naszym kraju prace teoretyczne zwykle oscylują pomiędzy tymi dwoma niewłaściwymi ekstremami.

Tekst oryginalny: https://blackrosefed.org/huerta-grande/ Pierwsze tłumaczenie na język angielski: Pedro Ribeiro (2009, Amanecer: For A Popular Anarchism, Kalifornia), poprawione przez Gabriela Ascui (2018, SOL, Chile). Tłumaczenie na język polski: xEDGARx (2021).

* * *

Od redakcji: Idea Especifismo bardzo przypadła nam do gustu (pisaliśmy o niej nr 12 „A-taku", 2019, s. 19), a powyższy tekst jest kontynuacją naszych poszukiwań krytycznych dotyczących ruchów społecznych. Temat zamierzamy kontynuować w kolejnych numerach. Zapraszamy do włączenia się w dyskusję, proponowania tekstów, tłumaczeń itd.

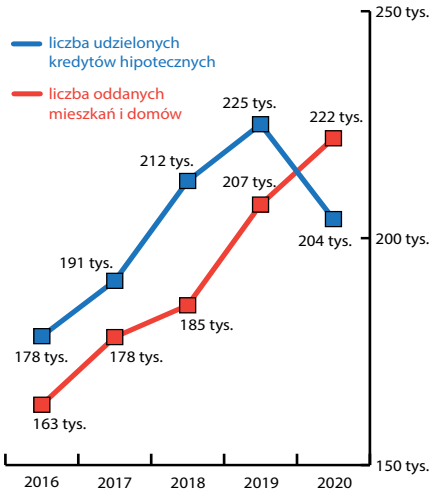
DOLARY PRZECIWKO ORZECHOM

Zauważyliście, że trwa wzmożenie u deweloperów? Na niespotykaną dotąd skalę betonują, co popadnie, a wcześniej wycinają i burzą – co można i czego nie można. Im jakieś miejsce jest cenniejsze i piękniejsze, tym większe parcie inwestorów. Tak jest nie tylko w waszej okolicy, ale w całym kraju. Dlaczego? To proste. W ramach tak zwanych „tarcz osłonowych" do portfeli przedsiębiorców popłynęły gigantyczne kwoty, które miały zapewnić ich firmom przetrwanie w trudnym czasie epidemii.

DOLARY

Ta niezasłużona jałmużna dla bogaczy oczywiście tylko w nieznacznej części skapnęła niżej do ich pracowników, bo wiadomo – z miłosierdziem nie należy przesadzać, lepiej inwestować. Jednak ważniejsze jest to, że w tej kryzysowej sytuacji uruchomiono drukarnie banknotów, przez co pojawiła się groźba wysokiej inflacji. Szczególnie przeraziła ona tych, którzy mieli majątek zgromadzony w gotówce lub na kontach. Zresztą już wcześniej, gdy obcięto oprocentowanie lokat bankowych, szukali oni innych możliwości opłacalnego zainwestowania oszczędności, ale teraz sytuacja stała się znacznie poważniejsza.

No i wracamy do tematu – w tej sytuacji za najpewniejszą inwestycję uznano nieruchomości. Stały się więc poszukiwane, drogie i jeszcze mniej dostępne dla tych, którzy ich na serio potrzebują jako schronienia, a nie jako lokaty kapitału albo źródła szybkiego zysku. Jednoznacznie potwierdzają to dane statystyczne: przy znacznym wzroście liczby oddanych mieszkań w 2020 r. znacznie spadła – w porównaniu do 2019 r. – liczba udzielanych kredytów hipotecznych. Oznacza to, że mieszkania w coraz większym stopniu kupowane są za gotówkę, czyli przez osoby czy instytucje, które same w nich mieszkać nie będą, tylko planują je wynajmować albo trzymać puste i obserwować, jak ich wartość rośnie.



Mieszkania to zresztą tylko element bumu budowlanego w Polsce. Gdy okazało się, że turystyka zagraniczna przez pandemię i kwarantanny zamarła, wśród nieruchomości szczególnie atrakcyjne stały się inwestycje związane z krajową turystyką (hotele, aparthotele itp.). Miejsca najatrakcyjniejsze przyrodniczo znalazły się więc na deweloperskim celowniku, a pieniądze – które tym razem stoją za inwestorami – są nieporównywalnie większe do tych sprzed kilku lat. Tereny publiczne są masowo prywatyzowane w sposób legalny i nielegalny, a następnie zabudowywane. Przy okazji oczywiście w zawrotnym tempie karczowane są lasy. Może nie tak szybko, jak ostatnimi laty, ale za to w sposób trwały. Lasy Państwowe wycinają drzewostan, bo szansa na to, że na zagarniętych i zabetonowanych terenach za kilka lat pojawi się jakakolwiek sensowna zieleń, jest żadna. Wprowadzenie i utrzymanie jej w formie, w jakiej chciałby widzieć ją inwestor, to koszty, na które inwestor optymalizujący zyski nie może sobie pozwolić. Wszystko nakręca zysk, chciwość i strach przed brakiem zysku.



ORZECHY

Z drugiej strony pandemia i dystans społeczny zmieniły wiele w życiu normalnych mieszkańców miast. Przymus bardziej długotrwałego przebywania sam na sam ze sobą doprowadził do nieco pogłębionej refleksji u części osób z wyżu demograficznego, które masowo wchodzą w okres kryzysu wieku średniego. Dotyczy to znakomitej większości, której rozterki dotyczące inwestowania oszczędności są całkowicie obce – bo ich nie mają. Skończyły się nawet drobne przyjemnostki dające pozory bycia w innej klasie społecznej. Wyjechać w świat przez kwarantanny i inne ograniczenia nie ma za bardzo jak, a o emigracji to już lepiej nie wspominać. Pozostaje więc pokochać nieco bardziej ojczyznę i to przede wszystkim tą małą. Żeby to jednak było możliwe, trzeba byłoby wreszcie zadbać, żeby dało się ją kochać i przebywać w niej w sposób niewymuszony, czyli zrobić coś, żeby było przyjemnie.

W jaki sposób to zmienić, to już temat na dłuższą zadumę. No, ale właśnie dzięki pandemii pojawił się czas, żeby pomyśleć i zająć się tym, na co nigdy nie było cza-

AKCJA KLEPSYDRA

W różnych miastach w Polsce pojawiły się na drzewach banery i klepsydry. Są to miejsca aktualnych konfliktów o drzewa, które już częściowo zniknęły lub mają zniknąć z powodu zakusów deweloperów czy też braku woli ochrony ich przez władze miast... Drzewa, które produkują dla nas tlen, odchodzą w milczeniu, dlatego postanowiliśmy o nich przypomnieć. Jednocześnie wzywamy do walki z deweloperami, którzy za ważniejsze uważają pieniądze niż troskę o dobro wspólne, jakim są istotne tereny zieleni w miastach. Akcje Zielonej Fali miały miejsce w Poznaniu, Warszawie, Trójmieście, Łodzi, Rzeszowie i Bielsko-Białej.



... I CO Z NIEJ W GDAŃSKU WYNIKŁO

Zorganizowana przez Zieloną Falę ogólnopolska akcja umieszczania klepsydr na drzewach zagrożonych wycinką dała początek kampanii, która w Gdańsku rozkręca się, a jej ostatecznych rozmiarów i skutków nadal nie znamy. Nie bardzo spodziewaliśmy się jakie będą skutki naszej akcji, gdy rozwiesiliśmy ponad setkę plakatów w zaśnieżonym lesie w Pasie Nadmorskim, dla którego przygotowywano nowy plan zagospodarowania przestrzennego. Ale może od początku...

CO Z TYM PLANEM BYŁO NIE TAK?

Wszystko. Chodzi o fragment lasu w Pasie Nadmorskim, który władze miasta na wniosek inwestora postanowiły przeznaczyć do 6-krotnie intensywniejszego zagospodarowania niż dotąd. Zdecydowana większość inwestycyjnych terenów należała do miasta, a około 1/3 do prywatnego właściciela - dewelopera. Zielone światło dla realizacji nowej monstrualnej inwestycji miał dać uchwalany przez radę miasta nowy plan zagospodarowania przestrzennego dla tego rejonu zezwalający na zabudowę 5 ha lasu. W miejscu lasu pojawić miałaby się zabudowa hotelowa o dopuszczalnej łącznej powierzchni wszystkich kondygnacji... ponad 130 tys. m2, czyli wielkości dużego centrum handlowego. **Plan został więc całkowicie przygotowany pod kątem realizacji oczekiwań inwestora.**

Urzędnicy prezentowali plan, jako zrównoważony i mający na celu... ochronę zieleni (serio!). Dopuszczenie budowy 6-piętrowych molochów z głębokimi kondygnacjami podziemnymi oczywiście „zaszyto" w zapisach planu tak, aby jak najmniej osób mogło doczytać się prawdy o rzeczywistych zamiarach inwestora. Mieszkańcy, którzy składali do miasta pytania dotyczące planu otrzymywali niejasne a czasem wręcz nieprawdziwe odpowiedzi. Fałszywe informacje otrzymali nawet radni, którzy pod koniec lutego mieli głosować nad planem. **Rzeczywisty kształt planu był więc ukrywany przed społeczeństwem, a gdy było to potrzebne, również zafałszowywany.**

Urzędnicy wszystko przepychali zgodnie z utartymi procedurami, które dać miały pozór udziału społecznego przy jednoczesnym wyłączeniu z decydowania wszystkich poza władzami miasta i inwestorem. Prosta sprawa – mieszkańcy składają uwagi – istotne wyrzucano, nieistotne można było przemyśleć – no i skonsultowane. Sami również złożyliśmy uwagi do prezentowanego planu zagospodarowania przestrzennego. Okazało się później jednak, że wszystkie uwagi złożone przez mieszkańców zostały hurtowo odrzucone przez władze miasta. **Plan był więc w sposób fasadowy konsultowany, a w rzeczywistości realizowany autorytarnie przez urzędników realizujących cele dewelopera.**

Najważniejsze były jednak skutki, jakie przyniosłaby realizacja zapisów planu w praktyce. Nieodwracalnie zniknęłoby 5 ha lasu, zdane na niełaskę dewelopera. Na tym rozległym terenie ochroną objętych miało zostać jedynie 7 drzew! Co gorsza głębokie wykopy niezbędne do budowy podziemnych kondygnacji stwarzałyby dodatkowo zagrożenie zniszczenia okolicznych ujęć wodnych. Ponadto ten teren ma charakter rekreacyjny – chyba najważniejszy w Gdańsku. Świeże powietrze, przyroda i brak samochodów ściągają codziennie dziesiątki tysięcy spacerowiczów, rowerzystów czy biegaczy. W przypadku realizacji planu betonowania i motoryzowania tego terenu, nastąpiłby nieuchronny koniec Pasa Nadmorskiego w obecnej formie.

CO ZROBILIŚMY?

Po oplakatowaniu lasu natychmiast okazało się, że za trzy tygodnie plan zagospodarowania trafi na sesję rady miasta i najprawdopodobniej zostanie przyjęty. Trzeba było więc nagłośnić sprawę w mediach i publicznie wyjaśnić, co jego uchwalenie oznaczałoby dla Pasa Nadmorskiego i jaka jest rzeczywista zamierzona skala zniszczeń zieleni. Ujawnienie tego uruchomiło lawinę wydarzeń. Mieszkańcy byli oburzeni, podobnie różne organizacje społeczne. Władze miasta z kolei próbowały nas zdyskredytować i zahukać. Pewien wiceprezydent wypuścił nawet film, w którym oskarżał nas o rozpowszechnianie fakenewsów, ale odpowiedzieliśmy natychmiast naszym materiałem, w których przystępnie obnażyliśmy manipulacje urzędników i wyjaśniliśmy kto w rzeczywistości podaje nieprawdziwe informacje. Nie chodziło jednak o to, żeby tylko informować o problemie i wygrać jakąś debatę publiczną, ale uchronić las przed wycięciem.

Ilość nieprawdziwych informacji w dotychczasowej prezentacji projektu planu, wymagała ponownego przeprowadzenia konsultacji społecznych i to w znacznie szerszym zakresie niż dotychczasowe przeprowadzone przy okazji opracowywania planu. Władze miasta były jednak bezczelnie dążyły do szybkiego przepchnięcia planu przez radę, tak żeby deweloper możliwie szybko mógł zrealizować swój cel. Zdecydowaliśmy się skorzystać z lokalnego prawa obowiązującego w Gdańsku, zgodnie z którym wniosek, który uzyska poparcie ponad 5000 mieszkańców zostanie poddany konsultacjom społecznym w sposób zaproponowany przez wnioskodawcę. Przygotowaliśmy więc wniosek, w którym wskazaliśmy metody konsultacji, które nie pozwolą urzędnikom zmanipulować debaty. Przez ponad miesiąc (w lutym i marcu) wszystkie weekendy spędzaliśmy na pasie nadmorskim zbierając poparcie mieszkańców, a do akcji włączyły się dziesiątki zaangażowanych w ten temat osób. Dało to imponujący wynik ponad 7200 podpisów. Chcieliśmy, żeby nawet przy rygorystycznej kontroli danych, urzędnicy nie mogli odrzucić naszego wniosku. Urządziliśmy również spacer przyrodniczy prezentujący walory bronionego przez nas lasu połączony z jego sprzątaniem. Władze miasta przedstawiały teren jako zaniedbany, a wybetonowanie go miało być doskonałym sposobem na rozwiązanie tego problemu.

Zauważyliśmy także że oprócz licznych wymienionych już szkód, plan pociągnąłby za sobą również zniszczenie chronionej panoramy – widoku od strony Zatoki Gdańskiej.

su; a było to przecież ważne, czyli na przykład własnym zdrowiem, a zwłaszcza profilaktyką. Pierwsze miejsce zaczęła zajmować aktywność fizyczna na świeżym powietrzu na terenach zielonych...

Zaraz, zaraz... jakich terenach zielonych? Tych, które właśnie są zabudowywane w ramach planów inwestycyjnych? No i tu właśnie rodzi się konflikt, który nie wszyscy dostrzegają, a właśnie o nim miał być ten tekst. Antagonizm między „wolę mieć" a „wolę być" zaostrza się i nieuchronnie wejdzie wkrótce na poziom „muszę mieć" kontra „muszę być". Potrzeba ochrony najbliższego środowiska, osiedlowych parczków i skwerków przed oszalałym buldożerem inwestycji już przenosi problem ochrony środowiska na zupełnie inny poziom, a sytuacja będzie się zaogniać. Betonoza dotyka – a raczej naciska – tych, dla których nie tak dawno problemy ekologii były jedynie jakimiś rozterkami „ekscentryków domagających się tunelu dla żabek pod autostradą". Teraz coraz częściej to oni sami stają się tą nieszczęsną żabką, ale w odróżnieniu od niej mają szansę się obronić. Jakimi sposobami? Wszystkimi możliwymi. Zacznie się oczywiście od legalnych i nieśmiałych, bo to przecież kwestia tylko kilku drzewek na skwerku, ale sytuacja będzie się zmieniać i szybko okaże się, że stawka jest znacznie wyższa. W każdym razie w tym konflikcie wiemy, po której stronie stanąć...



Zielona Fala Tójmiasto

Planowana zabudowa znacznie przewyższałaby drzewa, które miałyby ją zasłonić od strony brzegu. Dokonaliśmy pomiaru wysokości drzew i powiadomiliśmy o tym Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, który został uprzednio wprowadzony w błąd w tej sprawie przez miejskich urzędników. Choć Konserwator wnioskował o przesunięcie omawiania planu, ze względu na ujawnione przez nas fakty, władze miasta jego wniosek całkowicie zignorowały. Tak jak się obawialiśmy radni rządzącej koalicji PO i Wszystko dla Gdańska okazali się głusi na nasze argumenty, nawet gdy wykazywaliśmy, że są oszukiwani przez urzędników i zagłosowali za planem. Przeciwko hotelom w Pasie Nadmorskim opowiedzieli się radni opozycji, czyli w Gdańsku PiSu, nie dysponowali jednak większością i plan został uchwalony.

CO Z TEGO WYNIKŁO?

Uchwalenie przez radę na szczęście nie zamknęło tematu. Do wojewody, który nadzoruje prace rady miasta, skierowaliśmy skargi i odwołania. Dzięki pracowni konserwacji zabytków Aurea Porta z Gdańska, która społecznie dokonała za pomocą skanera 3D dokładnego pomiaru wysokości lasu (nasze pomiary były negowane przez urzędników), zyskaliśmy twarde dowody na to, że plan zagospodarowania dla Pasa Nadmorskiego jest niezgodny z prawem. Wojewoda choć nie unieważnił uchwały rady dotyczącej planu zagospodarowania, to skierował go do sądu.

Z kolei nasz wniosek o konsultacje poparty przez ponad 7200 mieszkańców został odrzucony przez władze miasta. Zinterpretowały go w sposób niezgodny z jego treścią – uznały za wniosek o konsultacje społeczne dla uchwalonego już planu i uznały, że wniosek jest niezgodny z prawem. Zastrzegły jednak przy tym, że mogą je przeprowadzić… ale na własnych zasadach (wtedy zapewne nie będą niezgodne z prawem). Niestety możliwości odwołania w tej sytuacji mamy w zasadzie żadne, co nie oznacza, że tak to pozostawimy.

Sprawa planu zagospodarowania dla Pasa Nadmorskiego nadal nie jest więc rozstrzygnięta i pewnie do niej jeszcze powrócimy.

EKSPLOATACJA ZWIERZĄT A PANDEMIA COVID-19

Od redakcji: Publikujemy fragmenty dwóch tekstów, które nadesłał nam xEDGARx, współpracujący z nami od jakiegoś czasu – do czego zachęcamy wszystkie osoby nas czytające. Artykuły zatytułowane „Eksploatacja zwierząt a pandemia Covid-19" oraz „Odcisk łapy na kamerze" zostały skrócone przez nas, a ich pełne wersje znajdują się w zinie „xKŁY i PAZURYx".

Mija rok od kiedy świat opanowała pandemia koronawirusa. Na chwilę obecną (koniec lutego) doszło do 113 milionów zakażeń na całym świecie, z czego 63,5 miliona zakończyło się ozdrowieniem, a 2,5 miliona śmiercią. W dalszym ciągu nie są w pełni znane długotrwałe konsekwencje przebycia choroby, choć już teraz mówi się o możliwym, poważnym wyniszczeniu płuc. Wielokrotnie doszukiwano się źródeł globalnej epidemii, niekiedy niebezpiecznie zmierzając w kierunku teorii spiskowych o wątpliwej rzetelności. Część głosów, głównie ze środowisk walczących o prawa zwierząt, choć nie tylko, zasugerowała, że obecna sytuacja jest wynikiem wykorzystywania oraz konsumpcji zwierząt przez ludzi.

xEDGARx

W naszej walce o wyzwolenie wszelkich istot żywych jest to bardzo mocny i przydatny argument, który stawiałby perspektywę globalnego odchodzenia od spożywania mięsa w jeszcze lepszym świetle. By jednak nie popadać zbytnio w euforię (jak upiornie, zważywszy na okoliczności, by to nie brzmiało), postarajmy się obiektywnie przeanalizować tę perspektywę.

CHOROBY ODZWIERZĘCE

Przede wszystkim, należy zaznaczyć już na wstępie, że Covid-19 jest chorobą odzwierzęcą, czyli taką, która najpierw rozwinęła się w organizmie zwierzęcym, by następnie przejść na człowieka, nie odwrotnie. Nie jest to z resztą pierwszy tego typu przypadek, kiedy doszło do epidemii rozprzestrzenionej na szeroką skalę, a której źródła należy szukać wśród innych gatunków. Do chorób, które przeszły z czasem na człowieka można zaliczyć chociażby ptasią i świńską grypę, Ebolę, HIV czy SARS. Jak wynika z badań i informacji podawanych przez WHO, co najmniej 61% wszystkich ludzkich patogenów jest pochodzenia zwierzęcego. Stanowią one około 75% patogenów, które pojawiły się w przeciągu ostatniej dekady. Jak natomiast dochodzi do międzygatunkowego przechodzenia wirusów? Jak łatwo się domyślić, musi dojść do bezpośredniego kontaktu. A ten może przybierać różne formy: spożywanie mięsa, trzymanie zwierząt domowych, polowania, wykorzystywanie zwierząt w gospodarstwach rolniczych, chów przemysłowy itp.

Przykładowo, przypadek pandemii grypy z 1918 roku (tzw. hiszpanki), kiedy to doszło do zarażenia blisko 25% ówczesnej populacji ludzi i śmierci około 50 milionów osób, był spowodowany wirusem H1N1, który najprawdopodobniej miał swój początek na kurzej fermie w Kansas.

Wirusa HIV sklasyfikowano dopiero w 1981 roku, choć już w 1959 odnaleziono jego zalążki w próbce krwi człowieka zamieszkującego Kongo. Co prawda, dalej trwają dyskusje nad historią przejścia wirusa z szympansów na ludzi, lecz w hipotezach tych nieodłącznie znajduje się kwestia polowań i konsumpcji tych zwierząt, gdyż zainfekowanie odbywa się poprzez bezpośredni kontakt z zakażoną krwią.

Choroba szalonych krów (gąbczasta encefalopatia bydła – BSE), która wybuchła w 1986 roku zapoczątkowana została w wyniku karmienia krów hodowlanych pożywieniem zawierającym szczątki owiec zainfekowanych prionami, wywołującymi owczą trzęsawkę.

Bazując na epidemiologicznych i laboratoryjnych dowodach, naukowcy łączą BSE z chorobą Creutzfeldta-Jakoba (vCJD) występującą u ludzi, a spowodowaną jedzeniem zakażonego mięsa.

Ptasia grypa z 1997 i 2004 roku w postaci wirusa H5N1 może przechodzić na wiele gatunków, wliczając w to kaczki wędrowne, gęsi bądź łabędzie, lecz najbardziej zdominowała hodowlany drób, głównie kurczaki. Rozprzestrzenianie się choroby w 1997 roku w Hong Kongu zatrzymano, uśmiercając całe populacje ptactwa chowanego na fermach.

Wirus Nipah, kolejny pochodzenia odzwierzęcego, rozprzestrzenił się w Malezji w 1998 i 1999 roku, za co główna odpowiedzialność spoczywała na przemysłowym chowie świń. WHO umieszcza Nipah obok Covid-19, Eboli, SARS, MERS czy Zika na liście chorób, które bezpośrednio wiążą się z przechodzeniem międzygatunkowym na człowieka w wyniku „niezabezpieczonego kontaktu z zakażonymi tkankami".

Podobnie z wirusem Hendra z rodzaju Henipavirus (ten sam rodzaj co Nipah), którego przypadki zaobserwowano w Australii. Wtedy to doszło najpierw do przejścia choroby z zainfekowanego nietoperza na konia (najprawdopodobniej poprzez pozostawioną ślinę na resztce owocu, zjedzonego następnie przez pasącego się konia), by następnie wirus przeskoczył na opiekujących się zwierzętami ludzi. Co ciekawe, zarówno Nipah, jak i Hendra zakwalifikowano jako patogeny, które można byłoby łatwo rozprzestrzenić, np. w formie broni biologicznej, i które mają wysoki poziom śmiertelności oraz wyjątkowo poważnie wpływają na zdrowie ogólne.

Z kolei źródłem gwałtownego przenoszenia się H1N1 w 2009 roku w USA i Meksyku był chów świń. Uczeni z uniwersytetów w Edynburgu, Oxfordzie i Hong Kongu przeanalizowali sekwencję genetyczną wirusa i doszli do wniosku, że zanim doszło do zmieszania się genów tworzących szczep odpowiedzialny za pandemię, poprzednie „wersje" wirusa krążyły wśród trzymanych świń przez lata. Trudno sobie wyobrazić, by doszło do wszystkich wymienionych przypadków (i wielu innych), gdyby nie eksploatacja zwierząt, chociażby poprzez hodowlę na przemysłową skalę.

MOKRE TARGI I „DZIKI" HANDEL

Wyjątkowo kontrowersyjną kwestią pozostają nadal tzw. „mokre targi", czyli targowiska popularne głównie w Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, na których sprzedawane są zwierzęta, nierzadko jeszcze żywe i zabijane na miejscu. To właśnie takie miejsca wiąże się z wybuchem epidemii SARS w 2002 roku (w prowincji Guangdong w południowych Chinach) oraz trwającą obecnie pandemią Covid-19 (miasto Wuhan w centralnej prowincji Hubei). Wielokrotnie zwracano już uwagę na ten problem, patrząc przez pryzmat cierpienia zwierząt, jak i pod kątem zagrożenia epidemiologicznego. Brak zapewnionych warunków sanitarnych, regulacji dotyczących sposobu przetrzymywania i zabijania zwierząt oraz trzymanie tuż obok siebie gatunków dzikich i udomowionych – wszystkie te czynniki wymieniane są jako szczególnie ryzykowne, biorąc pod uwagę możliwość rozprzestrzeniania się groźnych wirusów. Część raportów dotyczących epidemii SARS w 2002 roku wprost prowadzi do mokrych targów i sprzedawanych tam, jak się okazało, zainfekowanych nietoperzy i cywet (gatunek drapieżnego ssaka).

Natomiast jeśli chodzi o sprawę z Covidem-19, „pośrednikiem" między chorym nietoperzem a człowiekiem był najprawdopodobniej łuskowiec (ssak łożyskowy), który, pomimo statusu gatunku krytycznie zagrożonego, w dalszym ciągu uznawany jest za przysmak, głównie w Chinach i Wietnamie, a jego łuski mają zastosowanie w medycynie tradycyjnej.

Ile więc jest prawdy w twierdzeniu, że to handel dzikimi gatunkami w warunkach nie spełniających sanitarnych norm odpowiada za te konkretne epidemie? Według ekspertów, ciężko tak naprawdę jednoznacznie stwierdzić, czy to akurat tam doszło do rozniesienia choroby. (...) [Tak więc] nawet jeśli bezpośrednim początkiem wymienionych przypadków epidemii (SARS z 2002 r.) i pandemii (Covid-19 obecnie) nie były mokre targowiska oraz ogólniej mówiąc chów zwierząt, działalność człowieka w tym zakresie wyraźnie podnosi ryzyko rozprzestrzenienia się groźnych chorób. (...)

WNIOSKI

Występowanie w przyrodzie wirusów jest czymś zupełnie naturalnym. Przechodzenie chorób ze zwierząt na ludzi również nie jest niczym niezwykłym – w końcu zamieszkujemy wspólnie z innymi gatunkami jedną planetę, nasz kontakt jest nieunikniony. (...) Chów zwierząt i handel nimi, przekształcanie przyrody, systematyczne zmniejszanie się terenów nietkniętych przez ludzką rękę, zanik bioróżnorodności, postępujące urbanizacja i globalizacja, transport międzykontynentalny – wszystkie te czynniki są ze sobą powiązane, tworząc jedną, wspólną sieć, która gwałtownie potęguje prawdopodobieństwo wystąpienia już nie tyle lokalnych epidemii, co pandemii o światowym zasięgu. Obserwując zmiany, jakich dokonuje człowiek na Ziemi, możemy być pewni, że do takich sytuacji będzie w przyszłości dochodzić jeszcze częściej niż dotychczas.



O KŁUSOWNIKACH NA LEGITYMACJI PZŁ

Czytamy i słyszymy we wszelkiej maści mediach, że myśliwi „pomylili z dzikiem" rowerzystę, żubra czy po prostu kolegę obok. Powiedzenie „pomylił z dzikiem" przedostało się do licznych memów i utarło się na dobre w artykułach prasowych. W związku z tym w październiku 2019 roku podczas święta myśliwych w Nakle nad Notecią zorganizowaliśmy happening, wraz z Bydgoskim Ruchem Antyłowieckim, podczas którego przeprowadzaliśmy bezpłatne badania okulistyczne dla myśliwych. Powstała przy tej okazji grafika w postaci tablicy okulistycznej, która w żartobliwy sposób ukazuje skalę patologii myśliwych i ich bezkarność w konsekwencjach popełniania ciężkich przestępstw.

Luiza

16-LETNI KAZACH ZASTRZELONY W SADZIE POD LUBLINEM

Przykład takiego przestępstwa, to zabójstwo chłopaka w listopadzie 2020 roku, gdzie doszło do „pomyłki" z użyciem broni myśliwskiej. Zginął wtedy 16-letni obywatel Kazachstanu Imanali Nurakhan. Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego wystosował wówczas oświadczenie w tej sprawie, jakoby „sprawca zdarzenia w momencie popełnienia czynu nie wykonywał polowania, lecz kłusował" i że „złamał wszelkie obowiązujące myśliwych zasady bezpieczeństwa i normy etyczne". Prokurator twierdzi, że ten myśliwy kłusując, strzelał do nierozpoznanego celu, co znaczy, że: „godził się na to, że cel może być człowiekiem" – czego zabrania Prawo łowieckie. Zaś inni członkowie PZŁ na forach społecznościowych twierdzą, że żadnego myśliwego zrzeszonego w kole łowieckim nie da się oskarżyć o kłusownictwo, ponieważ posiada on wymagane badania i pozwolenia. Okazuje się jednak, że PZŁ takich badań okresowych nie wymaga od myśliwych. Czystą hipokryzją jest więc to, że zarząd PZŁ jest pierwszy do wskazania palcem i oskarżania o kłusownictwo własnego członka. Według nas jest jasne, że człowiek od rana może być myśliwym, a wieczorem zmienia się w zwyczajnego kłusownika, co analogicznie pozwala nam twierdzić, że jak myśliwy zabija zwierzęta według regulaminu, to jest członkiem PZŁ, a jak zabija ludzi, wilki i inne zwierzęta podlegające ścisłej ochronie, to PZŁ się od niego odcina – chcąc ewidentnie ocieplić w mediach wizerunek Związku.



BYŁY POLICJANT I POMOCNIK KOŚCIELNY PRZY PZŁ

PZŁ zwyczajowo utrzymuje, że myśliwy kiedy, łamie prawo, nie jest myśliwym, tylko staje się po prostu kłusownikiem (na legitymacji PZŁ). Oznacza to, że PZŁ w swoich szeregach kryje przestępców, a określanie ich mianem „kłusowników", czyli przysłowiowych „zgniłych jabłek w zdrowym sadzie" jest najgłupszym sposobem usprawiedliwiania sprawców przestępstwa. Odcinanie się od „kolegów po lufie" to ostatnia deska ratunku dla skorumpowanych i wewnętrznie skonfliktowanych struktur Rzeczpospolitej Myśliwskiej. Prawda jest taka, że to elity polityczne, wśród których zasiadają myśliwi, policjanci i kler, stworzyły grunt pod mniej lub bardziej zorganizowane grupy przestępcze zrzeszone w kołach łowieckich.

Poza tym, jak od lat donoszą media, kłusownictwo członków PZŁ nie jest czymś niespotykanym i ostatecznie nie wiadomo, ile takich „zdarzeń" myśliwym uchodzi na sucho. Powracając do zabójstwa chłopaka z Kazachstanu – Robert Jurszo z portalu OKO.press podaje, że faktycznie, mężczyzna „kłusował", a polowanie nie było zgłoszone w książce polowań (należy się do niej wpisać przed wyjściem na polowania), strzał zaś oddał kilkadziesiąt metrów od szkolnego budynku. Problem w tym, że to nie robi w tej sytuacji żadnej różnicy, bo znaczy to tylko tyle, że kłusownik miał legitymację PZŁ. Strzelał przecież 51-letni myśliwy Dariusz Ch., członek Koła Łowieckiego Nr 47 „Bekas" z Opola Lubelskiego, emerytowany policjant. Na dodatek razem ze swoim 41-letnim kolegą (pomocnikiem kościelnym) uciekł z miejsca zdarzenia. Pierwszemu mężczyźnie, który się nie przyznał do popełnionego czynu grozi wyrok od ośmiu lat więzienia do dożywocia za zabójstwo ze skutkiem ewentualnym. Drugiemu zaś (ten się przyznał) do pięciu lat za nieudzielenie pomocy chłopcu i utrudnianie postępowania. PZŁ odcina się od Dariusza Ch., a członek Zarządu Okręgowego PZŁ w Lublinie twierdzi, że myśliwi przechodzą okresowe badania. Niestety, jak podaje Lubelski Ruch Antyłowiecki, aktualne prawo nie gwarantuje nam bezpieczeństwa, ponieważ (na mocy ustawy z dnia 22 marca 2018 r. zmieniającej Prawo Łowieckie, w związku z brakiem określenia w nowelizacji terminu wykonania pierwszego badania po wejściu w życie nowego brzmienia art. 15 ust. 4 ustawy z dnia 21.5.1999 r. o broni i amunicji) istnieje obawa, że do dnia dzisiejszego myśliwi takich badań nie wykonali i wykonywać nie muszą. W praktyce, do ich przeprowadzenia będą zobowiązani dopiero od 2030 roku.

CZCZE OBIETNICE POMOCY RODZINIE KAZACHA

Imanali Nurakhan zginął w niedzielę Wszystkich Świętych w 2020 r. Po godzinie 20 wymknął się z internatu Zespołu Szkół Zawodowych w Kluczkowicach (woj. lubelskie) z trójką kolegów do przyszkolnego sadu, by nazbierać jabłek. Gdy do sadu wjechał samochód, chłopcy ukryli się między drzewami. Kiedy padł strzał, Imanali upadł na ziemię. Kiedy chłopcy zaczęli krzyczeć, samochód odjechał. Rannego przeniesiono do internatu, gdzie próbowano go reanimować, niestety bez skutku. Późniejsza sekcja wykazała, że obrażenia były rozległe: pocisk uszko-

OŚWIADCZENIE AKCJI SP. TLEN, KTÓRYM ODDYCHASZ

DOŚĆ NISZCZENIA MIEJSKIEJ ZIELENI!

Nie ma miasta, w którym samorząd nie kooperuje z deweloperka, ponieważ sprzedaż gruntów pod zabudowę jest źródłem natychmiastowego dochodu dla gmin. Skuszeni tym zastrzykiem finansowym włodarze miast chętnie wyprzedają kolejne tereny zielone, przeznaczając je pod zabudowę, zupełnie nie przykładając wagi do wartości drzew w mieście i korzyści jakie przynoszą stare nasadzenia na terenach zurbanizowanych. Czarują nas dopieszczone wizualizacje zielonych ogrodów, które deweloper urządzi na wybudowanym osiedlu. To jest fikcja, kłamstwo i greenwashing na olbrzymią skalę, ponieważ żadne posadzone na wybetonowanym, ogrodzonym osiedlu drzewko nie podoła roli, jaka pełnią stare drzewa w mieście – nie zatrzyma wody, nie da cienia latem, nie wytraci temperatury w mieście i nie przetworzy takiej masy CO2, czyszcząc ciężkie miejskie powietrze. Mówimy już, że gdyby drzewa przenosiły sygnał wi-fi, to można by spacerować w koronach drzew… niestety one tylko produkują tlen, którym oddycham.

Zielona Fala mówi – zacznij walkę z deweloperką w swoim mieście, zwróć uwagę na to, co się stanie, gdy drzewa skazane na śmierć przez miasto i dewelopera znikną. Wraz z jednym dużym drzewem znika tlen dla średnio trzech osób (duża sosna produkuje w ciągu doby tlen dla trzech osób, a duży buk nawet dla 14!).
Co możesz zrobić:

1. Znajdź inwestycję deweloperską uwarunkowaną kolejną wycinką miejskich drzew.
2. Pobierz wzór klepsydry (https://tiny.pl/r3frh) i wydrukuj ją na kartce A4 .
3. Przypnij klepsydrę na drzewach przeznaczonych do wycinki, mocując papier takerem lub pinezkami.
4. Wyślij nam zdjęcie na fanpage (https://www.facebook.com/zielonafalaZF/) jeśli możesz z opisem planowanej inwestycji i ilością drzew do wycinki.

Chcemy zacząć informować o tym, jak władze miast ignorują apele o utrzymanie zieleni, ignorują fakt zagrożenia klimatycznego oraz degradacji środowiska oraz lokalnych ekosystemów, jaką przynosi wycinka miejskich drzew. Miejska zieleń to również nasza wspólna przestrzeń rekreacji, z której musimy kawałek po kawałku rezygnować na rzecz prywatnych zysków dewelopera i doraźnych korzyści magistratu.

Naszym celem jest nowy zielony ład w zakresie traktowania miejskiej zieleni i myślenia o niej. Chcemy by – w obliczu katastrofy klimatycznej i w celu spowolnienia

dził nerkę, wątrobę i płuca. Amunicja myśliwska bowiem zadaje cięższe rany niż ta konwencjonalna. Podkreślmy też, że odległość od sadu, który znajduje się przy internacie wynosiła około 100 metrów, gdzie w prawie łowieckim wymagana odległość do oddania strzału podczas polowania to 150 m. PZŁ w oświadczeniu zaoferował pomoc dla rodziny chłopca, bo to przecież myśliwy zabił człowieka. Do dzisiaj jednak PZŁ takiej pomocy rodzinie Imanalego nie udzielił.

Jak podał portal „Holanews", chłopiec był sierotą, wychowywała go babcia. To ona opłacała jego pobyt w internacie. Imanali Nurakhan przyjechał do Polski z Kazachstanu zaledwie miesiąc wcześniej. Wspomniany kazachski portal „Holanews" podaje również, że chłopak był bardzo dobrym uczniem. Sprawą zabójstwa natomiast zainteresowały się ruchy antyłowieckie i adwokatka prozwierzęca Karolina Kuszlewicz, która zadeklarowała za darmo udzielić kobiecie pomocy prawnej.

PZŁ A OCHRONA WILKA

W obliczu Specustawy „Lex Ardanowski" (zob. „A-tak", nr 13, s. 13 – red.), dotyczącej Afrykańskiego Pomoru Świń (ASF) z 2019 roku, zaognił się konflikt między społeczeństwem a rządem, w którym to rządzie rozsiadają się licznie czynni członkowie PZŁ. Przypomnieć przy tym należy, że sam Polski Związek Łowiecki w teorii jest organizacją pozarządową, co od dawna bulwersuje większość mieszkańców kraju. Konflikt trwający od początku kadencji ministra (degradacji) środowiska Jana Szyszko zakonserwował jeszcze bardziej jego następców, w tym Jana Krzysztofa Ardanowskiego, co skutecznie zachęciło jego i innych do jeszcze większego uznania przywilejów sobie i całej myśliwskiej kasty. Zmiana ustawy wyposażyła też myśliwych w szereg dodatkowych sposobów zadawania śmierci i gadżetów do tego czynu, jak chociażby możliwości używania broni z tłumikami huku czy urządzeń noktowizyjnych podczas polowań w nocy.

Również, za pomocą wciąż trwającego wielkiego szwindlu o zwalczaniu wirusa ASF (wspomniana specustawa), zmieniło się prawo, penalizujące teraz każdego z nas, kto wchodzi do lasu i w miejsca, gdzie odbywa się polowanie. Znaczy to nie mniej ni więcej, że możemy być (są takie sprawy w toku) karani więzieniem za niewiedzę, ponieważ myśliwi rzadko albo wcale nie oznaczają terenu, na którym odbywa się polowanie. Nie zgłaszają też polowań do biuletynu informacji publicznej mimo obowiązku przekazywania takich informacji do gmin. Nawet jeżeli zgłaszają polowania zbiorowe, to robią to nieprawidłowo i w taki sposób, że całkowicie przywłaszczają sobie lasy. W świetle nowych przepisów nikt nie ma prawa monitorować prawidłowości przebiegu takiego polowania.

Skutkuje to jeszcze większą liczbą zabitych gatunków zwierząt chronionych, jak np. wilki. Nagonka medialna na nie, w wykonaniu środowisk łowieckic, to „bambinizm" do potęgi. Adam Wajrak pisze, że „to właśnie na przykładzie wilków widać, jak państwo porzuciło ochronę przyrody. Choć mamy pełno służb, to realnie żadna nie patrzy na ręce myśliwym, którzy dostają coraz to nowe »zabawki« typu noktowizja i termowizja. Kary za zabijanie zwierząt chronionych są niższe niż za kłusowanie łownych, za zabicie chronionego też trudniej skazać. Napędzana jest spirala strachu coraz częstszymi feak newsami, a gdy dochodzi do konfliktu, muszą sobie z tym radzić samorządy, które nie mają ani środków, ani wiedzy. Wilk to obecnie najbardziej bezpańskie zwierzę pod słońcem, a odpuszczenie ochrony wilka oznacza poważne kłopoty dla ekosystemu".

ZE ŚWIATA BIZNESU...

PZŁ i sympatyzujące z nim środowiska społeczne kryją w swoich szeregach psychopatów. Głośnym echem odbiła się ostatnio w mediach informacja o tragicznej śmierci milionera, potentata w produkcji pieczarek – myśliwego Stanisława Kani, który rozbił się we własnym helikopterze, wracając z nocnego polowania indywidualnego. Zabił przy tym i ranił innych, w tym członków swojej rodziny. Takie historie można by kojarzyć jak dotąd z rosyjskimi oligarchami polującymi na tygrysy w Ałtajskich górach albo mogło by się wydawać, że takie historie dzieją się zawsze gdzieś daleko, ale nie, to zdarzyło się na Śląsku w lutym 2021 roku.

Głośna była też niedawna śmierć księdza pedofila Andrzeja Dymera – bliskiego przyjaciela Jana Szyszki – zapalonego myśliwego. Był bardzo zamożnym człowiekiem. Posiadał pałac w miejscowości Głusza (gmina Polanów) otoczony gęstymi lasami i wzgórzami, stojący na cyplu o powierzchni 3 hektarów, nad prywatnym jeziorem. Jak opisuje portal Rzeczpospolita: „Z oddali widać, że na piętrze znajduje się około dziesięciu sypialni. Na parterze jadalnia z długim stołem, na ścianach trofea myśliwskie, drzwi z myśliwskimi witrażami. Dom góruje nad jeziorem, które można podziwiać przez okna salonu. Cypel, na którym został zbudowany, łagodnie opada ku wodzie. Nad nią duża altana i solidny pomost. Na jeziorze tabliczki ostrzegające, że jezioro jest prywatne. – Zabronili nam łowić ryby – skarżą się mieszkańcy. – Sami łowią, niedawno sieci stawiali". Poza tym uwielbiał koncelebrować Msze Hubertowskie, na których licznie eksponowano trupy zastrzelonych bezbronnych zwierząt itd.

MYŚLIWSKI SAVOIR VIVRE

Trzeba powiedzieć, że „Zbiór zasad etyki, tradycji i zwyczajów łowieckich" to nadzwyczaj inspirująca lektura. Czytamy w nim m.in.: „W historii Polski łowiectwo zajęło znaczące miejsce, wnosząc istotny wkład do materialnej i duchowej kultury narodu, co znalazło odbicie w sztuce i uformowało trwałe wartości obyczajowe oraz moralne" oraz „W życiu organizacyjnym i w czasie polowań myśliwy stosuje zasadę równości wszystkich członków PZŁ. W stosunku do kolegów, członków naganki, gości i innych osób jest uprzejmy, lojalny i koleżeński"...

Podczas blokad polowań myśliwi na mój widok często mówili, żebym wyciągnęła ręce z kieszeni, jak z nimi rozmawiam i stanęła prosto na baczność. W jednej chwili w osobie myśliwego zobaczyć można było całe oblicze patriarchatu: księży, policjantów i polityków. Niejednokrotnie też kobiety przebywające w lesie podczas polowania słyszały groźby karalne typu: „zgwałciłbym kołkiem drewnianym z kornikiem, to by jej przeszło". Myśliwi to znawcy najgorszej rodzimej odmiany savoir vivre'u pełnego seksizmu, rasistowskich i homofobicznych uwag. Aktywistki i aktywiści antyłowieccy nasłuchali się różnych „fantazyjnych" tekstów. Oto przykład kilku z nich:

* „jesteś taka obrzydliwa, że jakbym był sprzedawcą w sklepie i musiał wydać resztę, to nawet na kiju bym ci nie podał". Albo: „że jakby chłop w chacie ci dupę przetrzepał, to odechciałoby ci się latać po lasach";
* „może mi pani potrzyma", „może kolega wyciągnie fiutka i pokaże pani, jak wygląda prawdziwy", „niedojebana kurwo", „ty to chyba dawno chłopa nie miałaś", „chyba od rana niczego ciepłego w ustach nie miałaś" (nie, nie chodziło o ciepłą herbatę), „lodziara", „jak się wypniesz, to cię puknę", „niedoruchana jesteś?", „strzelić cię? mam duży kaliber" itp.;
* „gówniara", „smarkata", „może ci pomóc? potrzebujesz faceta?", „taka ekolożka, a łeb pusty", „małpa w odblaskowym", „stare klempy", „może cię pasem po dupie pogłaskać?", „jakie te wszystkie ekolożki brzydkie", „rura wydechowa";
* „do kościoła, idiotko, a nie po lasach łazić", „do domu, lepić pierogi", „brakuje ci dzieci, jak byś miała, miałabyś w życiu co robić", „może jeszcze matka Kościół wam się nie podoba?";
* „może nam jeszcze powiecie, że nie jecie mięsa?", „ale kiełbasy też nie jecie? ani karpia na Wielkanoc?;
* „te, Rumun!", „Żydy", „podejdź tu, kurwa, pedale, to ci ten łeb rozwalę", „wiadomo, pedały", „lodziarz, lodziarz", „tchórze";
* bywają wyznawcami spiskowych teorii: „Kto wam płaci?(tu opcje: Soros/Putin/Niemcy)"; „steruje wami góra"; „masz etat u Sorosa?".

Jako członkini oddolnej inicjatywy Poznaniacy Przeciwko Myśliwym wielokrotnie uczestniczyłam w blokadach polowań, a ponadto znam język kazachski i w 2008 roku mieszkałam w Kazachstanie (byłam tam na stypendium). Dlatego też śmierć 16-letniego chłopaka z Kazachstanu mnie poruszyła. Skończyłam studia turkologiczne na UAM i czytałam, że według danych statystycznych Kazaszek i Kazachów jest w Polsce ogółem pięćdziesiąt. Dlatego informacja, że spośród tych pięćdziesięciu Kazachów myśliwy jednego zastrzelił – była wstrząsająca.

Dlatego jako ruchy antyłowieckie chcemy podkreślić, że nie jest jasne, czy myśliwi przechodzą badania, skoro – z powodu wadliwego prawa – nie muszą. Dlatego też domagamy się od PZŁ, żeby zaczął wymagać od myśliwych wykonywania takich badań okresowych natychmiast! To powinien być moralny obowiązek PZŁ, żeby zapobiegać kolejnym tragediom.

Jednak nadrzędnym naszym postulatem jest samorozwiązanie się – zatęchłego i toksycznego

PRZYWRACAMY ZIELEŃ MIESZKAŃCOM!

Od lat deweloperzy w Poznaniu przejmują pod spekulacje i zabudowę kolejne tereny zieleni. W tym przypadku padło na bardzo cenne przyrodniczo ogrody położone wzdłuż rzeki Bogdanki na poznańskim Sołaczu.

Użytkowane do niedawna przez mieszkańców ogródki działkowe na terenie sołackiego ROD, będące częścią zachodniego klina zieleni, ulegają dewastacji wskutek nagromadzonego i składowanego tam gruzu i śmieci. Ten teren, który przewietrza miasto z uciążliwego dla nas smogu i hałasu – wskutek działań firmy Darex, która zgłasza w niejasnych okolicznościach roszczenia do tego terenu – popada w ruinę. Darex to firma znana głównie z wyłudzania i niespłacania kredytów, a wiele wskazuje, że również „przykłada się" do pozyskiwania działek wskutek podejrzanych praktyk reprywatyzacyjnych.

Jako sąsiedzi działek – w myśl starego alterglobalistycznego hasła: „Myśl globalnie, działaj lokalnie" – bronimy tych ogródków i terenów wokół nich przed zakusami deweloperów. Postanowiliśmy przywrócić im funkcję społeczną, by każdy z mieszkańców i nie tylko mógł wypocząć na kawałku zieleni w centrum miasta. Chcielibyśmy, aby działki były dostępne dla wszystkich, bez względu na status ekonomiczny czy zameldowanie. Jesteśmy otwarci na pomysły i inicjatywy mieszkańców Sołacza względem tego terenu.

Chcemy, żeby ten ogród był naszą odpowiedzią na patologie, jakie generowane są przez deweloperów, działających za przyzwoleniem władz miasta. Betonowa polityka uderza bezpośrednio w zwykłych mieszkańców, odbierając im ostatnie skrawki niezależności i świeżego powietrza. Likwidacja ogródków działkowych to kolejny zamach na zachodni klin zieleni, chroniący wszystkich mieszkańców przed skutkami zanieczyszczenia powietrza.



W związku z akcją porządkowania ogrodu potrzebujemy waszego wsparcia. Duży kontener, który ostatnio zamówiliśmy, zapełnił się w ciągu paru godzin. Jeżeli chcemy, aby ten teren został należycie uporządkowany, musimy zapełnić ich jeszcze sporo.

W tym celu apelujemy do Was o fizyczną pomoc w sprzątaniu, a także o wpłatę na zbiórkę, abyśmy mogli zamówić wymaganą ilość kontenerów, co pozwoli nam usunąć nagromadzone przez lata odpady.

Adres zrzutki: **zrzutka.pl/z/przywrazamyzielen**

Miasto nie dla deweloperów! Nie pozwolimy zabetonować ogródków działkowych!

Na zdjęciu zniszczone altanki (stan zastany) oraz fotografie z prowdzonych już prac porządkowych.



RATUJMY MAZURY



Budowa drogi ekspresowej S-16 budzi wiele kontrowersji. Ma to być czteropasmowa droga tranzytowa wschód-zachód, przebiegająca przez środek Krainy Wielkich Jezior Mazurskich i przez Biebrzański Park Narodowy. Odcinek Mazurski ma mieć długość 80 km i biec z Ełku do Mrągowa, przez sam środek regionu. Jego trasa ma przechodzić na pograniczu rezerwatów, w tym kilku o znaczeniu światowym, wpisanych na listę UNESCO, wymagane będzie również zbudowanie sześciu mostów przez jeziora, z czego dwa o długości 500 metrów przez jeziora Tałto i Orzysz. Koszt całości inwestycji to minimum 3,7 mld złotych. Rząd planuje rozpocząć inwestycję już w 2022 roku. Rozmawialiśmy na ten temat z Rafałem, jednym z lokalnych protestujących przeciwko inwestycji, współtwórcą koalicji Ratujmy Mazury, którego zdaniem tiry jadące po trasie rozjadą Mazury i znajdującą się tam dziką przyrodę.

Zielona Fala: Ostatnio sprawa budowy drogi stała się znowu głośna. Jaka jest historia planowania tej drogi?

Rafał: Przez ostatnie kilkanaście lat drogowcy sugerowali nawet 41 wariantów budowy drogi. Nie różniły się one zbytnio od siebie. Niektóre fragmenty były przesunięte o 100 lub 200 metrów. W rzeczywistości były to zygzaki naniesione na główną drogę. I nie ma to zbyt dużego znaczenia dla całej inwestycji – czy pójdzie ona kawałek bliżej, czy dalej, to i tak zniszczy najcenniejsze miejsca przyrodnicze zielonych płuc Polski.

Co w tej drodze budzi największe kontrowersje?

Oddziaływanie drogi wynosi kilkaset metrów. Głównie chodzi tu o hałas i o pyły pochodzące z tranzytu. W regionie mamy bardzo dużo jezior będących strefą ciszy. Oprócz tego jej trasa przebiega na granicy rezerwatów. I dla urzędników jest to „ok", bo trzyma się linii, które sobie wytyczyli. A z punktu widzenia przyrody nie ma znaczenia czy będzie ona przechodziła przez środek, czy kilka metrów dalej. Jako przykład można tutaj podać rezerwat przyrody Jezioro Łuknajno, o którym każdy z nas uczył się w szkole. Jest on rezerwatem biosfery wpisanym na listę UNESCO. Teoretycznie droga przechodzi kilkaset metrów od niego. Na terenie bagnistym, na którym kiedyś to jezioro się znajdywało. Dlatego nie jest możliwe, żeby zanieczyszczenie hałasem lub pyłami nie oddziaływało i nie zniszczyło tego rezerwatu. W tym momencie drogą przejeżdża jeden tir na trzy godziny.

W wyniku waszych wątpliwości postanowiliście zaprotestować przeciwko planom urzędników.

Większy ruch wokół tematu próbowałem organizować przez lata. Ale wtedy nikt nie wierzył, że ta trasa powstanie. Nawet najbliższe osoby twierdziły, że mam przysłowiowego hopla na tym punkcie.

A dla mnie to było coś w rodzaju hobby. Zbierałem informacje na temat różnych inwestycji, różnych firm i próbowałem jakoś wyprzedzić działania. Głównie opierało się to na przeglądaniu ogólnie dostępnych informacji w mediach.

Zaczęliście organizować spotkania z mieszkańcami gmin, których problem dotyczy.

Do tej pory część mieszkańców nie miała wyrobionego zdania na temat drogi. Zaczęliśmy się z nimi spotykać, aby omawiać wątpliwości dotyczące tematu. Część z nich nie miała świadomości tego, że nie będzie mogła (tak jak to robi teraz) przejść z jednej strony ulicy na drugą, tylko żeby iść do lasu po drugiej stronie planowanej inwestycji będzie musiała jechać kilkanaście kilometrów samochodem. Podobnie będzie z dojazdem do szkoły. W wyniku spotkań udało się wielu mieszkańców przekonać do tego, że droga jest błędem. Przykładem może tu być wieś Góra pod Orzyszem, gdzie po spotkaniu wszyscy mieszkańcy, oprócz jednego byłego wojskowego, są przeciwnikami inwestycji. Niestety pandemia powstrzymała możliwość organizowania kolejnych spotkań.

A jak do tego problemu odnoszą się władze lokalne.

Nie robią nic. Nie organizują konsultacji społecznych, a to, co robią, to pseudo konsultacje. Od kilku tygodni władze i „Gazeta Olsztyńska", jedna z największych gazet regionalnych, każdy artykuł zaczynają od wielkiej reklamy „głosy za budową drogi". Nie ma tam neutralnego nakłaniania do wyrażania swojej opinii, tylko jest chamskie przekonywanie do słuszności inwestycji, propaganda urzędnicza. Oni to nazywają korytarzem. Dla nas przywodzi to w pamięci korytarz, który planowała tu budować III Rzesza (Mrągowo leży 30 km od Wilczego Szańca, gdzie w latach 1941-44 mieściła się kwatera główna Hitlera – red.).

Wszystkie spotkania organizujemy za własne środki, nikt nam za to nie płaci. A koszta z tym związane są duże. Trzeba objechać odcinek 100 kilometrów, a oprócz tego są jeszcze warianty drogi. W sumie daje to całkiem spory obszar działania. Wszędzie trzeba dojechać, zdobyć salę nie czekając na to, aż dostaniemy ją od władz lokalnych, które często nie są nam przychylne. Atmosfera na spotkaniach była różna, zdarzały się pojedyncze akty agresji, ale do każdego trzeba umieć dotrzeć.

Jaki jest twoim zdaniem największy sukces tych spotkań

Udało się stworzyć szerszą koalicję mieszkańców przeciwko inwestycji. Od początku walczyłem o to, aby była ona jak najbardziej oddolna. I to się udało. W jednej grupie zasiadają np. ekolodzy, myśliwi i leśnicy, którzy na co dzień się ze sobą nie zgadzają i walczą. Tutaj udało się to połączyć. Chcieliśmy też, aby ta grupa jak najmniej miała wspólnego z tematami ekologicznymi, bo jak wiadomo wtedy łatwo to sprowadzić do poziomu „ekoświrów" i zdyskredytować jej działania. Dlatego skupialiśmy się na wszelkich innych możliwych aspektach szkodliwości drogi. Dopiero niedawno weszliśmy w koalicję bardziej skupioną na tematach ekologicznych z Biebrzańskim Parkiem Narodowym, gdzie również ma przebiegać trasa.

A co obiecują w zamian? Jakich argumentów używa władza, aby was przekonać do słuszności drogi? Czy argumentują to pracą, lepszym dojazdem dla turystów?

U nas nie ma bezrobocia. Jakiś czas temu jedna korporacja postawiła podobno największą na świecie fabrykę płyt wiórowych. I nie mogli znaleźć pracowników do tego stopnia, że musieli ich ściągać z zewnątrz. My staramy się żyć z dzikiej przyrody, z lasu i krajobrazu, a przynajmniej z tego, co jeszcze z nich zostało.

Układ dróg, który mamy w regionie, jest jeszcze hitlerowski, z czasów kiedy stolicą był Berlin, a tutaj lokalnie Królewiec. I władze starają się to powielać, stąd też kierunek drogi wschód zachód. Natomiast dzisiaj stolicą jest Warszawa. I tam się nie da dojechać. Wszystkie drogi są dziurawe. A właśnie z tego kierunku przyjeżdża najwięcej turystów.

Co proponujecie w zamian?

Jest dobry przykład dobrej drogi między Piszem a Wiartelem. I takie drogi powinno się stawiać. Z drogami rowerowymi, dobrymi parametrami pod nacisk, ławeczki i przystanki w lesie. Może bez tych niepotrzebnych barierek w lesie, na których by można zaoszczędzić jakieś 100 tys. zł. Za jeden tylko most planowany na jeziorze Tałty w najtańszej wersji moglibyśmy mieć kilka tysięcy kilometrów takich dróg powiatowych.

Oprócz tego nie wiadomo czy za jakiś czas rząd nie wprowadzi opłaty za drogi ekspresowe, więc nawet miejscowi, chcąc dojechać gdzieś w regionie, będą musieli zapłacić. Dlatego cały czas powtarzam, że to, czego najbardziej potrzebujemy, to dobre, wyremontowane drogi powiatowe, ułatwiające dojazd zarówno mieszkańcom, jak i turystom, a nie ekspresówka przez środek Mazur.

Jako mieszkańcy włożyliście już sporo pracy w organizowanie protestu. Drogi prawne powoli się wyczerpują. Powoli można już myśleć zatem o blokadach. Czego oczekujecie od ludzi spoza regionu? Jakiej formy wsparcia?

Rzeczywiście. Powoli wyczerpują się już wszystkie możliwości prawne. 25 marca skończyły się konsultacje społeczne Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, dotyczące oddziaływania inwestycji na środowisko. Zgodnie z tym, co powiedział RDOŚ w Olsztynie wpłynęło do nich 1,8 tys. pism i jest to rekord. Pod niektórymi pismami jest nawet 800 podpisów. Nie wiadomo kiedy RDOŚ przedstawi opinię środowiskową.

Jako mieszkańcy nie mamy doświadczenia w blokowaniu fizycznym tego typu inwestycji. Do tego potrzebujemy ludzi z zewnątrz, a my staramy się przygotować kwestie logistyczne. W końcu każdy, kto przyjedzie, będzie chciał wziąć prysznic, wykąpać się czy co jakiś czas przespać w normalnych warunkach. Jest to bardzo istotne dla komfortu psychicznego wszystkich osób biorących udział w proteście. Oprócz tego będzie potrzebne wsparcie dla ewentualnych osób zatrzymanych i ich rodzin. A pamiętajmy, że to nie będzie krótki protest. Raczej przewidujemy, że będzie on trwał latami, ciągnął się na dziesiątkach kilometrów i prawdopodobnie będzie nawet kilka punktów protestu, a nie jeden. Dla tego typu działania będzie potrzebne ich mnóstwo.

Ciężko jest na ten moment prorokować, ile osób przyjedzie i weźmie udział w działaniach. Jednak biorąc pod uwagę, że dotyczy to takich ikon przyrody jak rezerwat Łuknajno czy Biebrza możemy mówić o tysiącach uczestników.

Byłeś uczestnikiem protestów na Górze Świętej Anny i w Dolinie Rospudy. Oba dotyczyły dróg – z czego pierwszy zakończył się niepowodzeniem, natomiast drugi sukcesem. Masz już więc doświadczenie w tego typu protestach. Jakie widzisz szanse na zablokowanie tej inwestycji na bazie swoich dotychczasowych doświadczeń?

Wydaje mi się, że szanse na wygraną są. Nie będzie to krótka walka, tylko najprawdopodobniej będzie trwała latami. Być może zakończy się tak, jak ruchy protestu przeciwko drogom w Anglii (ruch road protesters w latach 90). Władze spróbują zbudować tę drogę, zaangażują olbrzymie siły porządkowe, aby przeprowadzić inwestycje władują olbrzymie ilości środków finansowych i w końcu będą musiały odpuścić. Być może uda się zablokować to na poziomie Unijnym, w końcu chodzi tutaj również o rezerwaty UNESCO. Wszystko zależy od zaangażowania i sił, które włożymy w protest.

https://www.ratujmymazury.pl/





W OBRONIE DANIO PRĘGOWANEGO

Może być dla nas pewnym zaskoczeniem, że to nie psy, koty, czy króliki są najliczniejszymi przedstawicielami świata zwierząt, trzymanymi „do towarzystwa". To ryby. Wyobrażenia na temat ich biologii oraz niska cena rynkowa powodują, że każdego roku miliony ryb akwariowych – wyłowionych z naturalnych siedlisk lub rozmnożonych w niewoli – giną. Jest to problematyczne nie tylko z powodów etycznych, ale także ekologicznych.

Jarosław Urbański

AQUA-BIZNES

W wielu tzw. krajach dobrobytu, ponad 10% gospodarstw domowych posiada akwaria z rybami, krewetkami i ślimakami. Handel rybami ozdobnymi stał się w ostatnich latach ogromny i ciągle rośnie. Wyceniany jest obecnie na kilkanaście miliardów USD rocznie. Na świecie sprzedaje się około dwóch miliardów ryb akwariowych każdego roku. W tym blisko 1/10 wyławia się z naturalnych, tropikalnych siedlisk i wysyła na sprzedaż w europejskich, amerykańskich, australijskich czy japońskich salonach zoologicznych. Resztę rozmnaża się w niewoli.

Także w Polsce mamy wielu akwarystów, targów i sklepów z rybami ozdobnymi. Do naszego kraju importuje się ryby z różnych kontynentów. W 2019 r. dominowały cztery kraje azjatyckie (Tajlandia, Sri Lanka, Indonezja, Singapur), ale na liście były też Peru, Kolumbia czy Kenia. Polska systematycznie sprowadza ryby akwariowe z zagranicy, a w ostatnich latach roczne obroty w przeliczeniu na polski złoty wynoszą od 6 do 12 milionów.

Odławiane ryb dla celów akwarystyczny przyjęło takie rozmiary, że zaczęło to wywoływać poważne kontrowersje, zwłaszcza w związku ze wzrostem popularności akwariów morskich i – z drugiej strony – koniecznością ochrony raf koralowych. Dodatkowo importowane ryby są rozsadnikami nowych patogenów, które zagrażają także zdrowiu ludzi. Po pandemii koronawirusa kwestia ta zapewne przybierze na znaczeniu. 70% przesyłek ryb ozdobnych importowanych do Australii zawiera duże ilości pasożytów, a niezdrowe i umierające ryby są tam powszechnie sprzedawane w sklepach zoologicznych. Według niektórych badań znaczna większość wyłowionych ryb akwariowych pada zanim trafi do sprzedaży detalicznej lub krótko po ich zakupie. Poziom śmiertelności jest pilnie strzeżoną tajemnicą branży.

KOŁO SANSARY I FORTUNY

Krótko mówiąc, biorąc jeszcze pod uwagę akcesoria, pokarm i preparaty stosowane w akwarystyce, handel rybami ozdobnymi stał się bardzo intratny. Równolegle, w ostatnich dwóch dekadach radykalnie zmieniły się poglądy biologów i ichtiologów na temat ryb. Po pierwsze wykazano, że ryby cierpią w podobnym stopniu co pozostałe kręgowce i w zasadzie w niczym się od nich pod tym względem nie różnią. Nie będę szczegółowo się na ten temat rozwodził, a zainteresowanych mogę odesłać do artykułu Andrzeja Elżanowskiego dostępnego w internecie („Życie Weterynaryjne", 2019/94[4]). Po drugie ryby wykazują także o wiele większą inteligencję, niż im to do tej pory przypisywaliśmy. Ich mózgi są zaskakująco podobne do mózgów ssaków. Niech was nie zmyli rozmiar. Kluczowy jest stosunek mózgu do wielkości całego ciała, a także jego struktura. Na przykład trzy sekundowa pamięć ryb to mit. Badania dowiodły, że wiele gatunków ma ją znakomitą.

Inaczej mówiąc: ryby czują ból, wykazują złożone zachowania i istnieją też przesłanki, że mogą odczuwać emocje. Na ich samopoczucie i dobrostan wpływa szereg czynników, nie tylko wymieniane w podręcznikach akwarystycznych pojemność i rozmiary zbiornika, temperatura wody, jej pH oraz twardość, oświetlenie (częściej jednak rozpatrywane pod kątem roślin), zarybienie akwarium i dobór gatunków. Zresztą wiele z tych parametrów nie jest przestrzegana. Dodatkowo rzadko bierze się pod uwagę np. hałas. Akwaryści mają małą wiedzę na temat zachowania ryb w ich naturalnym środowisku i że ulega ono daleko idącym modyfikacjom w sztucznych warunkach.

44% akwarystów nie zapewnia rybom odpowiedniej liczby roślin do schronienia

56% akwariów ma za dużą obsadę ryb

19% akwariów ma niewłaściwe zestawienie gatunków agresywnych i spokojnych

36% akwarium nie ma temperatury optymalnej dla trzymanych gatunków

30% akwarystów karmi ryby wyłącznie suchą karmą

źródło: Miriam Sullivan, „Fishing for answers: improving welfare for aquarium fish", The University of Western Australia, Perth 2014.

Utrzymanie względnej biologicznej równowagi w zbiorniku i dobrych warunków dla ryb, wymaga cierpliwości i nieco doświadczenia. Tym którym tego brak, zbiornik obrasta glonami, pojawia się kamień, dno ulega zamuleniu, kolejne partie ryb i roślin padają, woda mętnieje itd. W efekcie „baniak" przestaje wyglądać atrakcyjnie, co było podstawowym motywem jego założenia. Przy ostatecznej likwidacji akwarium ryby trafiają wprost do sedesu. Albo są wpuszczane do krajowych zbiorników wodnych, gdzie – na naszej szerokości geograficznej – nie mają przeważnie szansy przetrwać zimy. W innych regionach świata w takim przypadku dochodzi do introdukcji, która zwykle negatywnie wpływa na środowisko.

Tymczasem w sklepach pojawiają się coraz to nowi adepci akwarystyki, wydający setki, czasami tysiące złotych na założenie kolejnego akwarium. Koło sansary się toczy, wraz z kołem fortuny kilku najważniejszych firm na rynku zoologicznym.

TRANSGENICZNE RYBY

Na całym świecie handluje się kilkoma tysiącami gatunków ryb akwariowych, ale dominuje tak naprawdę około trzydziestu. Wiele też w wyniku hodowlanej selekcji i krzyżówkom ulegała daleko idącym zmianom, mającym na celu uatrakcyjnić ich wygląd poprzez nietypową barwę czy wydłużenie płetw. Wyraźnie różnią się od swoich naturalnych pierwowzorów. Zaczynają się poruszać i zachowywać w swoisty sposób. Akwaria są dla nich w zasadzie już jedynym „naturalnym środowiskiem".

W samej Wielkiej Brytanii, oprócz selekcji hodowlanej, dokonuje się ponad pół miliona eksperymentów na rybach, z bliżej nieokreśloną liczbą osobników. Poddaje się je też szczególnym modyfikacjom genetycznym.

Danio pręgowany (Danio rerio) jest popularnym gatunkiem ozdobnym. Ta mała ryba słodkowodna, pochodząca z subkontynentu indyjskiego, stała się przedmiotem szczególnego zainteresowania naukowych laboratoriów. Jak czytamy w jednym z opracowań, danio jest np. wykorzystywany w badaniach medycznych, szczególnie dotyczących nowotworów oraz procesów starzenia. Pod koniec lat 90. naukowcy z uniwersytetu w Singapurze rozpoczęli eksperymenty na danio, w których chodziło o stworzenie ryby fluoryzującej w obecności toksyn, a następnie powracającej do normalnego ubarwienia w czystej wodzie. W ten sposób chciano monitorować jakości wody w kopalniach węgla. O ile udało się za pomocą modyfikacji genetycznej sprawić, aby ryba „świeciła", to jednak jej powrót do wyjściowego ubarwienia okazał się niemożliwy. Fluorescencyjny danio został jednak opatentowany.

W 2001 r. prywatna firma Yorktown Technologies (teksańskiego start-upu zajmującego się biotechnologią) zdała sobie sprawę z potencjału ekonomicznego zmodyfikowanych genetycznie ryb akwariowych. Wykupiła licencje na rozmnażanie danio, z przeznaczenie na masowy rynek. Pomysł ten został oprotestowany przez wiele organizacji ekologicznych sprzeciwiających się takiemu traktowaniu zwierząt, eksperymentom genetycznym i obawiającym się skutków ich introdukcji. Bezskutecznie.

Wprawdzie nie bez problemów prawnych, to jednak danio pręgowany i inne już zmutowane gatunki ryb ozdobnych sprzedawane są w niektórych krajach w Ameryce i Azji w jaskrawoczerwonych, zielonych, żółtych itd. kolorach fluorescencyjnych. W Unii Europejskiej jest to zakazane, ale nielegalny handel kwitnie – także w Polsce. Ich cena jest wielokrotnie wyższa od osobników niezmutowanych, przez co – z kolei – rozwinął się „rynek alternatywny". Ryby są sztucznie barwione: „metodą iniekcji podskórnej", podając specjalny pokarm, stosując hormony, tatuując lub kąpiąc w barwnikach!



MIŁOŚĆ CZY ABOLICJA

Brak jest tu miejsca na szersze podsumowanie. Im więcej jednak wiem na temat gospodarczego wykorzystania zwierząt, tym bardziej jestem zwolennikiem abolicjonizmu – zakazu ich posiadania. Korzyści dla ludzi z trzymania zwierząt do towarzystwa ,w tym ryb ozdobnych, są – wbrew obiegowym opiniom – problematyczne. Kwestionuje to szereg badań, w tym zwracających uwagę na skutki negatywne. Udomowienie czy socjalizacja zwierząt nie są równoznaczne z zachowaniem ich dobrostanu. Nie sądzę też, aby „złotą rybkę" uszczęśliwiło przyznanie jej praw obywatelskich. Antropocentryczna „miłość do zwierząt" świetnie służy celom komercyjnym. Dobrze się sprzedaje. Choć gatunkami, które oswoiliśmy i „wyprodukowaliśmy" musimy się teraz z troską opiekować (być może już zawsze), to powinniśmy dokonać wszelkich starań, aby wreszcie zatrzymać powtarzające się cykle reprodukcji zwierząt w niewoli i zaprzestać odławiania ich ze siedlisk naturalnych. Dotyczy to też ryb akwariowych.

ODCISK ŁAPY NA KAMERZE O TRAKTOWANIU

(...) Wszystko zaczęło się wkrótce po inauguracji tej dziedziny rozrywki, a istotny w kontekście niniejszego tekstu fakt zdarzył się za sprawą człowieka, bez którego oblicze współczesnego, nowoczesnego świata wyglądałoby zupełnie inaczej.

W roku 1903 pracownicy nowojorskiego zoo podjęli decyzję o uśmierceniu słonicy „Topsy", oskarżonej o szereg ataków na personel oraz agresywne zachowanie wobec odwiedzających ogród. Gdy próba powieszenia monstrualnego zwierzęcia nie powiodła się, do akcji wkroczył sam Thomas Edison, podsuwając rodakom pomysł z użyciem ogromnej ilości energii elektrycznej celem uśmiercenia potężnego ssaka. Egzekucję tę skwapliwie sfilmował, tworząc w ten sposób pierwszy dowód przeciwko nieludzkiemu traktowaniu zwierząt w obliczu kamery. W kolejnych latach przeróżne gatunki w dalszym ciągu pełniły na planach hollywoodzkich produkcji funkcje instrumentalne i marginalne, wspomagając w ten sposób działania artystów i trup cyrkowych.

KONIE

W największym stopniu cierpiały konie, będące niemymi ofiarami masowo powstających westernów oraz epickich produkcji historycznych, jak chociażby „Szarża lekkiej brygady" na planie której zginęło 25 nieparzystokopytnych. Gdy informacja o tym dotarła do większego grona kinomanów i urzędników, po raz pierwszy zaczęto zastanawiać się nad monitorowaniem traktowania wszelakich stworzeń na planie filmowym. Jeszcze większe krwawe żniwo zebrała trwająca ponad trzy lata realizacja „Ben Hura", w trakcie której śmierć poniosło ponoć blisko sto zwierząt (i jeden z kaskaderów).

Przełom nastąpił jednak dopiero w pamiętnym (z różnych powodów) roku 1939. Na planie kolejnego westernu - „Jessie James" - doszło do tragicznego wypadku. Jeden z koni został praktycznie siłą zepchnięty z wysokiego klifu, w wyniku czego złamał kręgosłup i musiał zostać uśpiony. Protestująca wobec takich działań filmowców organizacja American Humane Association postanowiła rozpocząć pracę i nadzór nad traktowaniem zwierząt na planach filmowych. (...) w nadzorowanych przez tą organizację produkcjach od 1972 roku pojawia się charakterystyczne sformułowanie: „No Animals Were Harmed" - czyli „Podczas realizacji filmu nie ucierpiały żadne zwierzęta".

KANIBALE I WĘŻE

Temat podłego traktowania filmowanych zwierząt na dobre odżył pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy powstał najbardziej chyba znany tytuł z podgatunku tzw. kina kanibalistycznego. 7 stycznia 1980 roku na ekrany kin trafia produkcja Ruggero Deodato „Cannibal Holocaust". Film inspirowany nurtem mondo (realistycznych pseudo-reportaży o obyczajach egzotycznych ludów z odległych krańców świata) oraz relacjami telewizyjnymi z akcji terrorystycznych Czerwonych Beretów od samego początku wzbudzał ogromne kontrowersje. Reżyser oraz dwaj producenci - Franco Di Nunzio i Franco Palaggi - wkrótce musieli stanąć przed sądem i tłumaczyć się z rozmaitych zarzutów. Oskarżenie CH o bycie filmem „snuff" udało im się oddalić po tym, gdy na sali sądowej pojawiła się jedna z „zamordowanych" na planie aktorek, „zgładzona" w wyjątkowo realistycznej scenie nadziania na pal. Nad potępieniem twórców zadecydowało jednak ich potraktowanie obecnych na planie zwierząt. Podcięte gardło ostronosa, porąbanie maczetami żółwia, dekapitacja małpy i strzały oddane do świni wstrząsnęły nawet częścią zaangażowanych w powstanie filmu aktorów, proszących Deodato o zaprzestanie bezsensownej przemocy. Na nic zdały się jego późniejsze tłumaczenia, że wszystkie zamordowane zwierzęta zostały ostatecznie zjedzone przez tubylców. Trzyletni zakaz wykonywania zawodu dla reżysera oraz zakaz dystrybucji CH w blisko 50 krajach na świecie nie zmieniły jednak faktu, że zło zostało już dokonane.

Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w ogóle był wyjątkowo niefortunnym okresem dla zwierząt uwiecznianych na celuloidowej taśmie. Wystarczy wspomnieć bawołu zgładzonego na planie „Czasu Apokalipsy" Francisa Forda Coppoli czy ogromne kontrowersje związane z „Wrotami niebios" Michaela Cimino. Do klapy finansowej (i artystycznej) tego obrazu w znacznym stopniu przyczyniła się wyjątkowo tym razem aktywna AHA, głośno bojkotująca i potępiająca epicką produkcję. Wyszło bowiem na jaw, że Cimino uśmiercił kilka koni (jednego z nich - przypadkowo - wysadzając w powietrze za pomocą dynamitu) plus znaczną ilość walczących ze sobą kurczaków.

Kontrowersji nie uniknął też człowiek uznawany już wówczas za „złote dziecko Hollywood". Podczas kręcenia sagi o „Indianie Jonesie", Steven Spielberg dopuścił się zaniedbań wobec potrakowania tysięcy szczurów i setek węży, czego nie omieszkała wytknąć mu zbulwersowana córka Stanleya Kubricka, Vivian. (...)

AKCENT POLSKI

Trudno nie wspomnieć także o trzech polskich akcentach w niniejszym, mało chlubnym poczcie. Dobrze znane jest powszechne oburzenie, z jakim spotkało się zepchnięcie konia z wysokiego i stromego klifu w „Popiołach" Andrzeja Wajdy. Reżyser oczywiście tłumaczył (podobnie jak lata później Tarkovsky), że zwierzę i tak trafiłoby do rzeźni - jednak z punk-

KOLEJ I ANARCHIZM

Krzysztof Herman, Michał Rams

Bycie anarchistą jest czasem jak posiadanie rentgena w oczach – zaczynamy zauważać otaczające nas mechanizmy władzy, przemoc państwa, kapitału, patriarchatu... ale dostrzegamy też to, co pozytywne: drobne akty życzliwości, oddolną organizację i międzyludzką solidarność. W niniejszym artykule chcielibyśmy zaprosić Was do spojrzenia w ten sposób właśnie na kolej.

Pociągi to nie tylko transport, ale również publiczna komunikacja. To ostatnie, magiczne słowo wywodzi się z łacińskiego communio (wspólnota), które odnajdziemy w wielu pojęciach: w wymianie myśli poprzez język i media, w łączeniu się ludzi właśnie poprzez transport, ale również we wzniosłej idei świata pozbawionego wyzysku i zbudowanego na pomocy wzajemnej, anarchokomunizmie. Powiedzieć, że kolej – tak jak każda inna komunikacja – pełni ważną rolę w życiu naszego społeczeństwa, to truizm, ale kiedy myślimy o anarchistycznych sposobach jego organizowania, to kwestia ta zaczyna się komplikować. Jak oddolnie zorganizować ogólnokrajową sieć? Jak ją finansować?

ANARCHISTYCZNY MODEL DZIAŁANIA

Dobrowolnie, oddolnie tworzone małe grupy pracowników zarządzające majątkiem nie dla zysku, a dla dobra publicznego. Często o ich przetrwaniu decydują zrzutki albo zyski z przekazywanego im jednego procenta podatku. Niekiedy funkcjonują dzięki pomocy samorządów. Pracują w czasie wolnym, po pracy, po szkole, w weekendy. Satysfakcja to ich jedyne wynagrodzenie. I tak już od kilkunastu, czasem kilkudziesięciu lat. Czy są anarchistami? Cóż, nawet jeśli z naszej perspektywy są, to raczej sami by się tak nie nazwali. Być może nawet poczuliby się zaatakowani czy obrażeni. Nie łączą ich poglądy polityczne, a jedynie wspólny cel – ratowanie zabytków kolejnictwa. Mowa bowiem o stowarzyszeniach miłośników kolei, które utrzymują w ruchu zabytkowe lokomotywy i wagony, a niekiedy również całe linie kolejowe z zapleczem technicznym. Taką organizacją jest Stowarzyszenie Górnośląskich Kolei Wąskotorowych z Bytomia, dzięki któremu latem odbyć można podróż pociągiem turystycznym po linii kolejowej z połowy XIX wieku. Dzięki nim Górnośląskie Koleje Wąskotorowe są wciąż najstarszą działająca nieprzerwanie koleją wąskotorową świata. Wolontariusze zarządzają również Koleją Wąskotorową Rogów – Rawa – Biała (Fundacja FPKW) czy Parowozownią Skierniewice (PSMK). W całej Polsce działa około trzydziestu instytucji zajmujących się ochroną dziedzictwa kolejowego – w dużej mierze działają dzięki nieodpłatnej pracy miłośników kolei.

KROPOTKIN I ANARCHIA W KOLEJNICTWIE

Czy całą koleją można by zarządzać tak, jak teraz zarządza się pojedynczymi liniami heritage railways? Cóż, nie byłaby to sprawa prosta, bo wymagałaby koordynacji setek, a nawet tysięcy ugrupowań. Trzeba jednak pamiętać, że dzieje się tak i dziś, albowiem kolej nie istnieje bez skomplikowanych procesów organizacyjnych na wielu szczeblach. Tymczasem wątpliwe jest, czy scentralizowana i uzbrojona po zęby władza państwowa jest nam potrzebna jako najwyższy szczebel tej organizacji. Zauważył to między innymi Kropotkin, który anarchistycznej kooperacji dopatrywał się we wzajemnej współpracy towarzystw kolejowych. W „Zdobyciu chleba", książce opublikowanej w 1892 roku, pisał: „Ta olbrzymia sieć połączonych kolei żelaznych i ten bajeczny ruch handlowy, któremu dają podstawę, stanowiący niewątpliwie najbardziej charakterystyczną cechę naszego czasu — jest dziełem swobodnego porozumienia. Gdyby ktokolwiek przed pięćdziesięciu laty przepowiedział coś podobnego, to nasi dziadowie mieliby go za głupca lub wariata i zakrzyczeliby go: »Nigdy w świecie nie uda się doprowadzić do porozumienia stu towarzystw akcyjnych! To utopia, czysta bajka! Porozumienie nakazać by mógł tylko jakiś zarząd centralny, z naczelnym dyrektorem o silnej pięści«". Kropotkin celnie zauważył, że tak naprawdę wszelkie problemy rozwiązywać można na drodze obrad i umów, a kolej jest tego dobrym przykładem.

Oczywiście można argumentować, że kolej lepiej działa w tych państwach, gdzie sieć kolejowa jest własnością państwową. Antyprzykładem są tutaj Stany Zjednoczone, gdzie poszczególne linie należą do prywatnych korporacji czerpiących zyski niemal wyłącznie z przewozów towarowych. To powoduje, że nawet pociągi ekspresowe (teoretycznie najszybsze) muszą ustępować miejsca składom towarowym. Tymczasem w Polsce czy innych krajach Unii Europejskiej jest inaczej – w rozkładach jazdy pierwszeństwo nadaje się ekspresom, w dalszej kolejności pociągom osobowym, a dopiero na samym końcu towarowym. Gdy ekspres się spóźnia inne pociągi muszą czekać, by ustąpić mu drogi. Wydaje się jednak, że system amerykański, gdzie decyduje zysk rozumiany materialnie, a dobro pasażera liczy się mniej, jest najlepszym dowodem na patologie kapitalizmu. Tymczasem nauka dla nas płynie taka: rozkład jazdy powinno zawsze układać się myśląc o potrzebach podróżnych.

KOLEJ JEST EKO

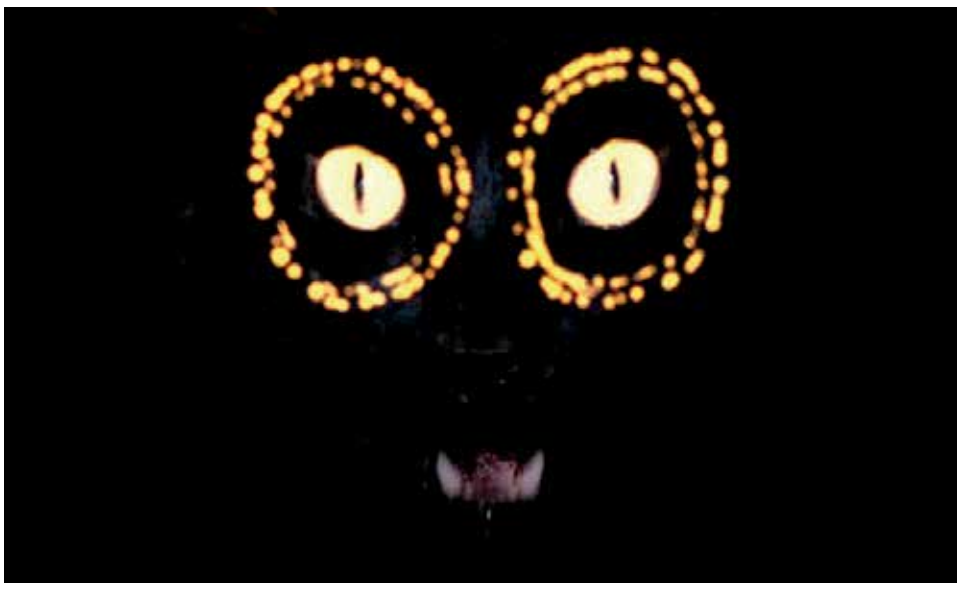
Czy też raczej może być. Jak podaje Urząd Transportu Kolejowego, w Polsce eksploatowanych jest obecnie 19.503 km linii kolejowych, przy czym aż 62% to linie zelektryfikowane. Trakcję elektryczną wykorzystuje się obecnie na wszystkich głównych liniach kolejowych. W kraju eksploatowanych jest obecnie 1.886 pojazdów trakcyjnych, czyli takich, które posiadają własny silnik: są wśród nich lokomotywy, których zadaniem jest ciągnąć inne pojazdy (wagony) oraz zespoły trakcyjne, czyli pojazdy takie jak Pendolino czy znane z kolei regionalnych Elfy: są ta zespoły połączonych ze sobą na stałe wagonów pasażerskich z własnym silnikiem i kabinami sterowniczymi. Wśród wszystkich tych pojazdów silnik elektryczny wykorzystuje 79,9% z nich. Czy to dobrze? Cóż, Szwajcaria zelektryfikowała już wszystkie swoje linie, Kosowo jeszcze żadnej, ale średnia europejska wynosi 55%. Tak więc w Polsce nie jest najgorzej, zwłaszcza że wyprzedzamy Wielką Brytanię i Niemcy. Gorzej jednak, że prąd, który płynie w przewodach sieci trakcyjnej nie pochodzi ze źródeł odnawialnych. Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych SA podaje, że 93% energii elektrycznej w naszym kraju pochodzi ze źródeł nieodnawialnych – głównie węgla kamiennego. Ostatecznie jednak nie jest to problem samej kolei, która pozytywnie wypada na tle innych środków transportu. W przeciwieństwie do samochodów i samolotów kolej może być całkowicie zielona, nie zanieczyszczać powietrza. Jeśli więc chcemy mieć społeczeństwo anarchistyczne i jednocześnie zachować wszystkie zdobycze rewolucji naukowo-technicznej powinniśmy postawić na transport szynowy (ewentualnie kolej niekonwencjonalną).

Radosław Antonów w swojej książce „Pod czarnym sztandarem.

ZWIERZĄT W PRZEMYŚLE FILMOWYM

Jakub Zieliński

tu widzenia moralności to czyn godny potępienia. Nieco inaczej wyglądała sprawa z kotem w znanym serialu TVP „Siedem Życzeń". Plotka głosiła początkowo, że ekranowy Ramedenes został za zgodą właścicielki uśpiony, a w poszczególnych ujęciach wykorzystano tylko jego truchło. Tę wersję po latach propagowała też polska prasa brukowa. Dopiero wyszperane z archiwum TVP dokumenty wykazały, że na planie posłużono się techniką poklatkową i specjalistycznymi trickami, a kotu nie stała się żadna krzywda. Nieco kłóci się to jednak z wersją przedstawioną przez aktora odtwarzającego Darka, według którego producenci początkowo próbowali szczęścia z „angażem" trzech kotów. Drugi z nich wpadł w furię i zaczął drapać wszystkich wokół, trzeci po prostu uciekł - jednak ten pierwszy popełnił samobójstwo, skacząc z czternastego piętra bloku.



Na początku lat dziewięćdziesiątych profesorzy Uniwersytetu Jagiellońskiego wystosowali list do władz z prośbą o zakaz wstępu do kraju węgierskiej reżyserki Judith Elek. Powodem tego apelu było uśmiercenie na planie „Flisaków" czternastu owiec, oblanych materiałem łatwopalnym i umierających w męczarniach przy włączonej kamerze, co polscy naukowcy jednoznacznie ocenili jako czyn „prymitywny".

EFEKTY SPECJALNE SZANSĄ?

Wydawać by się mogło, że z upływem lat i w wyniku licznych kontrowersji doszło w końcu do znaczącego przełomu i bardziej humanitarnego traktowania „braci mniejszych" na planach filmowych. Powszechne zastosowanie animacji komputerowej i tak zwanego efektu „niebieskiego tła" - oraz szybkość rozprzestrzeniania informacji o jakiejkolwiek kontrowersji tudzież skandalu poprzez media - na pozór powinny zminimalizować konieczność interwencji takich organizacji jak AFA czy PETA w działania reżyserów i producentów. Niestety również w ostatniej dekadzie doszło do kilku mało chwalebnych zdarzeń, rzucających ponownie cień na postawę moralną Hollywood. Po raz kolejny w tarapaty popadł Steven Spielberg, dopuszczając do okaleczenia konia na planie epickiego „War Horse". Trzech przedstawicieli tego gatunku zginęło podczas realizacji serialu HBO „Luck" z Dustinem Hoffmanem - w efekcie interwencji połączonych sił PETY i AFA doszło do kasacji tego przedsięwzięcia po pierwszym sezonie. Potępiono również twórców filmu „Zookeeper", próbujących tłumaczyć że występująca na ekranie żyrafa zmarła już po zakończeniu zdjęć, nie w ich trakcie. Bliski utonięcia był główny zwierzęcy bohater - tygrys - „Życia Pi", zaś w opowiadającym o czasach prehistorycznych „Alpha" kontrowersje wzbudziły ujęcia z wykorzystaniem martwych ciał bizonów. Niechlubny rekord drugiej dekady nowego millenium pobił jednak... „Hobbit" Petera Jacksona. Dwadzieścia siedem martwych zwierząt z rozmaitych gatunków, poważne zaniedbania pod względem zapewnienia ich bezpieczeństwa i odpowiednich warunków trzymania, kolejne poważne oskarżenia wobec opieszałości obecnych na planie „funkcjonariuszy" AFY - to efekt działań pewnego dziennikarza, ujawniającego kulisy rzeczonej superprodukcji. Warto przy tym dodać, że ciężki los spotyka nierzadko też wspomnianych głównych bohaterów produkcji o zwierzętach, zmuszanych do poprawnego „grania" za sprawą wręcz fizycznej przemocy znanej też z cyrkowych aren. (...)

Jak będzie wyglądać przyszłość dla „profesjonalnych" relacji pomiędzy autorami dzieł filmowych a zwierzętami - trudno wyrokować. Oczywiście silny wpływ i wszechobecność mediów zdaje się ukrócać pozornie nieograniczoną swobodę „lordów z Fabryki Snów", jednak do idealnej sytuacji droga jest jeszcze daleka. Pozostaje mieć tylko nadzieję że wrażliwość i moralność (oraz zdrowy rozsądek) o wiele częściej będą brać górę nad kartezjańskim przekonaniem o braku odczuć u naszych braci mniejszych.

Anarchizm w Polsce po 1980 roku" (2004), wspomina m.in. o Obywatelskiej Lidze Ekologicznej (współtworzonej przez środowisko Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego i Federacji Anarchistycznej – red), która działała w Polsce w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia. Starała się ona promować kolej, jako alternatywę dla transportu samochodowego, odpowiedzialnego za duże zanieczyszczenie powietrza. Anarchistki i anarchiści z OLE (zresztą nie tylko oni) już trzydzieści lat temu rozumieli to, czego do dziś nie chcą zrozumieć nasze władze – smog zabija. Parę lat temu, na ulicy Sławkowskiej w Krakowie, na ścianie jednej ze staromiejskich kamienic pojawiła się tablica. Napis głosi: „Pamięci ponad 6000 krakowian, do których śmierci w latach 2000-2015 przyczynił się smog. Ich można było uratować". Antonów piszę również o istotnej roli anarchistek i anarchistów w organizowanej przez Instytut Rozwoju i Promocji Kolei kampanii pod nazwą „Kolej na kolej" znanej również z hasła „TIRY na tory". Układ, na jaki mogliby wówczas pójść z państwem ekoanarchiści Antonów opisywał w następujący sposób:
„W polityce transportowej uwzględnione zostałyby potrzeby regionów i społeczności lokalnych, a nie zasady centralnego planowania. Skarb Państwa przeznaczyłby środki jedynie na budowę obwodnic wokół miast oraz modernizację istniejących dróg, natomiast odstąpiłby od realizacji programu budowy autostrad. Państwo natomiast zajęłoby się promocją transportu publicznego i rowerowego oraz zaprzestałoby promocji samochodu w publicznych mediach oraz dotowania przemysłu samochodowego".

W kontekście walk o wykorzystanie kolei w celach ekologicznych nie sposób nie wspomnieć o walkach w bardziej dosłownym tego słowa znaczeniu, które prowadził w latach dziewięćdziesiątych niesławny Oddział 13 Grudnia, późniejszy Ludowy Front Wyzwolenia: 7 czerwca 1990 roku członkowie LFW protestując przeciwko podwyżkom cen biletów odpalili granat łzawiący w budynku Dyrekcji Okręgowych Kolei Państwowych. Można i tak.

KRWAWA KOLEJ

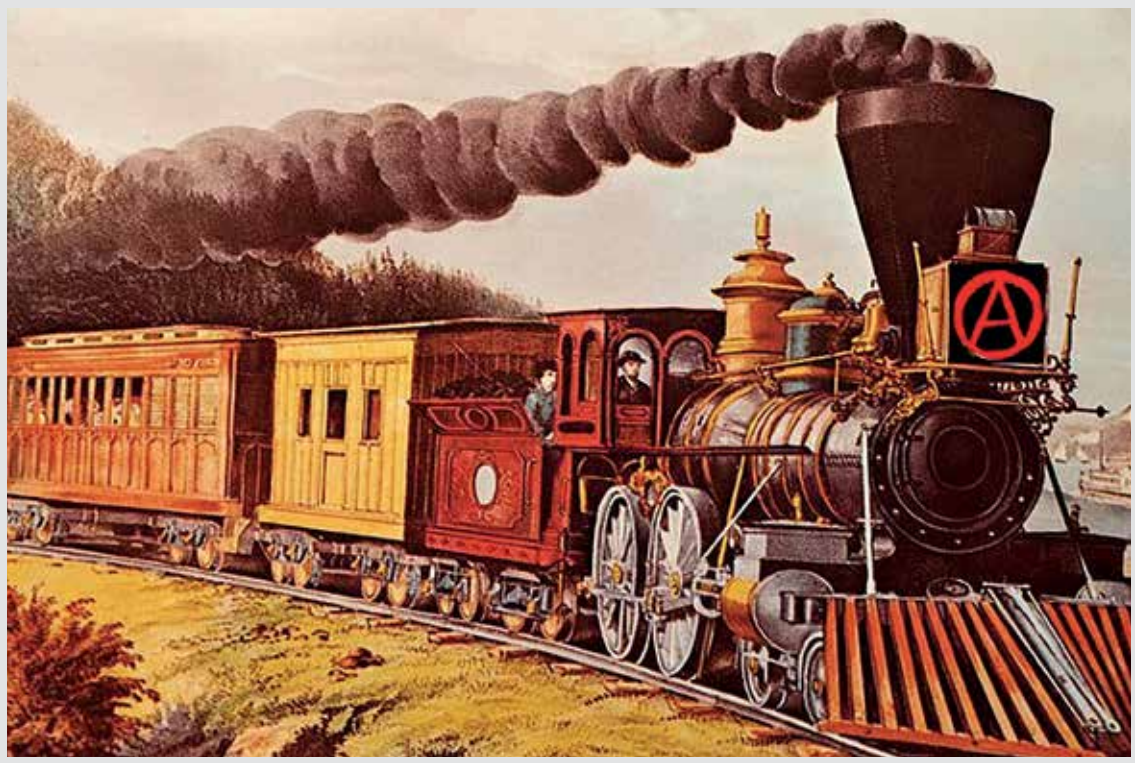
W XIX wieku duży wpływ na rozwój sieci kolejowych miały państwa, niekiedy nawet o wydaniu zezwolenia na budowę i koncesji na eksploatację decydował osobiście władca. Pośrednio duży wpływ na kolej mieli różnego rodzaju doradcy – zwłaszcza wojskowi. W carskiej Rosji względy gospodarcze (nie mówiąc o dobru publicznym) miały znaczenie drugorzędne. Dlatego linie kolejowe projektowano, przykładając do mapy linijkę. Postępowano dokładnie odwrotnie niż w Prusach, gdzie linie kolejowe wiły się od miasta do miasta. Co więcej, w Rosji niemal zakazano budowy linii o układzie równoleżnikowym, co miało zapobiegać wykorzystaniu w przyszłości kolei do podboju kraju.

Podczas pierwszej i drugiej wojny światowej kolej odegrała wielką rolę. Własnym pociągami pancernymi dysponowali m.in. powstańcy śląscy i wielkopolscy, a na Ukrainie anarchiści – ochotnicy Nestora Machno. Zresztą przebieg walk machnowców, zarówno z bolszewikami, jak i białymi, był w dużej mierze uzależniony od przebiegu linii kolejowych na Ukrainie*. Nie można również zapominać, że podczas drugiej wojny światowej kolej transportowała miliony więźniów do obozów koncentracyjnych i łagrów.

Kolej zawsze dobrze służyła zbrodniczym systemom – od faszyzmu, przez totalitarny komunizm, po kapitalizm. Nie mogło być inaczej, skoro zrodziła się z wyzysku i podboju –jednym z najważniejszych symboli walki Europejczyków z ludnością rodzimą Ameryki Północnej jest budowa linii kolejowej łączącej wschodnie wybrzeże z zachodnim. Kolej odbierała grunty i karczowała lasy, zmieniła wsie w miasta (tak np. powstały Katowice), przeobrażała przestrzeń, umożliwiając kolonizację i eksplorację. Bez kolei nie byłaby możliwa industrializacja, nie byłoby wielkich fabryk, kopalń, hut, korporacji, a w konsekwencji zatrutych rzek, jałowej ziemi, martwych drzew i smogu. Warto więc mieć na uwadze, że kolej od zawsze była narzędziem podboju i jednocześnie symbolem kapitalizmu (nawet, gdy oficjalnie mówiono o komunizmie i dobru publicznym). Kolej jest symbolem represji i żarłocznej pogoni za zyskiem.

Wydaje się jednak, że wspólnymi siłami moglibyśmy – my, czyli całe społeczeństwo – ufundować sobie kolej społeczną. I co więcej, wydaje się, że istnieją już ku temu narzędzia. Małe organizacje utrzymujące zabytkowe parowozy nie dla zysku, a z pasji do zabytkowej kolei są dla nas dobrym przykładem oddolnej inicjatywy w kolejnictwie. Być może warto zwrócić uwagę również na koleje samorządowe, czyli spółki takie jak Koleje Śląskie czy Koleje Mazowieckie. Może daleko im do anarchizmu, lecz ich istnienie jest dobrym dowodem na to, że kolej niezależna od władz centralnych to dobry pomysł. Musimy pamiętać, że – jak pisał David Graeber we „Fragmentach antropologii anarchistycznej" – „anarchistyczne formy organizacji w niczym nie będą przypominały państw. Będą polegały na nieskończonej mnogości wspólnot, stowarzyszeń, sieci (...)". Jedną z takich sieci może być właśnie kolej.

Więcej na ten temat można przeczytać w jednej z najnowszych książek o powstaniu przewodzonym przez Nestora Machno, autorem której jest Colin Darch. Autor pisze tam wyjątkowo dużo na temat socjoekonomicznych uwarunkowań powstania machnowszczyzny. C. Darch, Nestor Makhno and Rural Anarchism in Ukraine, 1917–21, Pluto Press, London 2020.



METODA SEGALA

CZYLI EMANCYPACYJNA SIŁA WSPÓLNOTY

Jaką rolę może pełnić projektowanie domów? Czy da się to robić z myślą o mieszkańcach? I czy podczas budowy może stworzyć się wspólnota? Na te i inne pytania odpowie Mateusz Gierszon, autor książki wydanej niedawno nakładem Oficyny Wydawniczej Bractwa Trojka.



Autor książki na tle osiedla Hedgehog w Brighton arch: Architype [archiwum autora]

A-tak: Od jak dawna interesujesz się architekturą?

Mateusz Gierszon: Architekturą zainteresowałem się przy okazji wyboru studiów, nie miałem w rodzinie tradycji architektów ani budowniczych.

Czy studiowanie architektury – z jednej strony bazującej na naukach ścisłych (matematyka, fizyka), a z drugiej humanistycznych (rysunek, historia sztuki) – sprzyja myśleniu systemowemu czy antysystemowemu?

Prawdę mówiąc, trudno odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi się, że zestaw przedmiotów na tym kierunku nie tworzy jakichś poważniejszych podstaw do myślenia krytycznego, oprócz szerszego oglądu sytuacji i szerszych możliwości rozwoju, wynikających z szerokiego spektrum przedmiotów. Na studiach poznaje się pewien etos zawodu zaufania publicznego, znaczenie wyborów architekta i jakości architektury, a jednocześnie architektura i jej studiowanie ma bardzo silny konserwatywny rys. Wynika to z jej podstawowych elementów jak normatywy, przyzwyczajenia użytkowników czy, najczęściej, konserwatywny charakter inwestorów. Więc dzięki wielowątkowości tych studiów można znaleźć na nich każdą niszę: konserwatywną i krytyczną, jednak trzeba ją znaleźć samemu.

Ty taką znalazłeś, czego efektem jest „Metoda Segala. O wspólnotowym budownictwie mieszkaniowym". We wstępie do swojej książki piszesz, że o Segalu dowiedziałeś się z broszury Jarosława Urbańskiego pt. „Odzyskać miasto. Samowolne osadnictwo, skłoting, anarchitektura" (2005), w kolejnych latach poznając życiorys Segala i metody jego pracy, a także inne technologie budownictwa partycypacyjnego. Jak przebiegało zbieranie informacji na ten temat?

W trakcie studiów zacząłem pisać bloga o szeroko rozumianej architekturze wolnościowej. W tym samym czasie „Odzyskać miasto" wpadło w moje ręce i metoda Segala wydała się szczególnie ciekawa. Zacząłem więc przeszukiwać internet i księgarnie pod kątem informacji o Segalu oraz innych tematów na bloga, a w tym czasie nie było tego dużo. Równolegle, a było to ze sobą powiązane, zainteresowałem się metodami budownictwa z naturalnych materiałów. Po pewnym czasie postanowiłem uporządkować tę wiedzę, zamykając ją w ramy i dyscyplinę doktoratu. Od tego momentu udało mi się pościągać kilka angielskich wydawnictw, zwiedzić osiedla w Anglii i porozmawiać z ich mieszkańcami, zwiedzić wystawę o Segalu i znaleźć jedyną biografię Waltera Segala autorstwa Johna McKeana w bibliotece Politechniki Krakowskiej. To było odkrycie!

Przybliż nam zatem postać Waltera Segala.

Walter Segal urodził się w 1907 roku, w rumuńsko-żydowskiej rodzinie. Jego ojciec Arthur Segal był malarzem, członkiem berlińskiej bohemy. Segal wychowywał się w tym środowisku, tym bardziej, że rodzina wkrótce przeniosła się do artystycznej i anarchistycznej komuny Monte Verita w Asconie w Szwajcarii, gdzie bywali ważni artyści początku XX wieku. Mimo znajomości w Berlinie, ze względu na program studiów, który przydawał ważności kwestiom konstruktorskim, Segal postanowił studiować w Delft w Holandii. W czasie studiów zainteresował się „nowinką" ze Stanów Zjednoczonych: lekkim szkieletem drewnianym. Jeszcze podczas studiów zaprojektował w tej technologii mały budyneczek w Monte Verita. Po dojściu nazistów do władzy wyemigrował do Anglii, gdzie po wojnie podjął się pracy zawodowej we własnej pracowni i na uczelni. Tam w roku 1962, na podwórku domu należącego do jego drugiej żony, na czas rozbiórki i budowy głównego domu, postanowił zbudować tymczasowy domek drewniany – pierwszy dom w metodzie nazwanej później jego nazwiskiem.

W książce piszesz, że na metodę Segala można patrzeć na dwa sposoby – z jednej strony jest to specyficzny typ konstrukcji, z drugiej metoda pracy z ludźmi, w której architekt reprezentuje mieszkańców „w obliczu lokalnej władzy i administrcji".

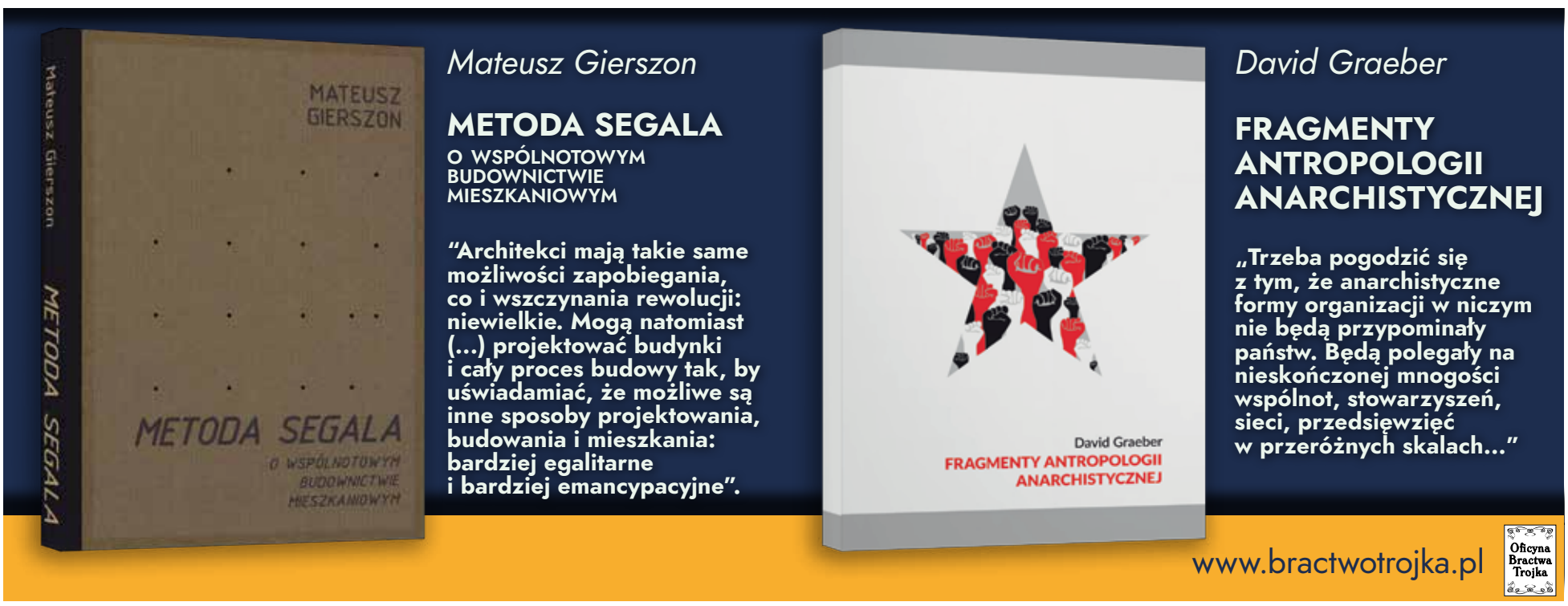
Rzeczywiście tak jest, tzn. uważam, że pierwszy budynek, o którym wspomniałem tylko na wyrost, można nazwać budynkiem wykonanym metodą Segala. Tak naprawdę możemy tu mówić o konstrukcji autorstwa Waltera Segala: rozwiązaniach konstrukcyjnych opartych na ramowej konstrukcji drewnianej i pewnych rozwiązaniach architektoniczno-budowlanych, które ułatwiają budowę, operują prostymi technikami i skracają czas pracy. I rzeczywiście popularne jest mówienie o metodzie Segala, redukując ją do aspektów konstrukcyjno-architektonicznych. Ja jednak uważam, że znaczenie tej metody tkwi nie w rozwiązaniach materiałowych czy konstrukcyjnych – które zresztą częściowo się już zdezaktualizowały – a w emancypacyjnej sile wspólnej organizacji i budowy własnych domów. Opisywane przeze mnie w książce pryncypia, na których opierały się dwie inwestycje (projektowane przez Segala na przełomie lat 70. i 80. w Londynie), są wciąż aktualne, a jednocześnie można je sobie wyobrazić bez rozwiązań konstrukcyjno-architektonicznych zaproponowanych przez Segala. Ważne, by inne rozwiązania trzymały się zasad i celów metody Segala.

Podejście Segala wygląda na całkowitą zmianę myślenia o architekturze.

W opisywanych przeze mnie projektach Segal wystąpił w nowej roli, obcej architektowi, który do tej pory (do lat 80.) projektował osiedla mieszkaniowe. Nie otrzymał zlecenia od władz samorządowych, a sam poszukiwał samorządu, który z korzyścią dla mieszkańców wcieli w życie jego projekt. Nie stawiał się w roli demiurga, od początku do końca obmyślającego funkcjonowanie i estetykę osiedla, lecz rozpoczął proces konsultacji i projektowania z mieszkańcami. Wreszcie nie stawił się w roli wysłannika inwestora, a w roli mediatora pomiędzy samorządem a mieszkańcami. Nowa rola architekta wynikała też z nowej – w tym wypadku – roli mieszkańców: jako budowniczowie, partycypując poprzez swoją pracę w kosztach budowy, stali się częściowo współinwestorami, a ich pozycja negocjacyjna znacznie się wzmocniła. Oczywiście partycypacja mieszkańców w projektowaniu budynków mieszkalnych powinna być standardem nie tylko w momencie, kiedy są oni zaangażowani w budowę, jednak na przełomie lat 70. i 80. mało który inwestor poważnie traktował zdanie mieszkańców, a nowa rola, jaką im przydawała metoda Segala, pozwalała przełamać zwyczajowy opór władz.

Jakie wrażenie wywarło na tobie obejrzenie osiedli zaprojektowanych przez Segala?

Bardzo pozytywne. Możemy mówić o tym, jak te osiedla funkcjonują pod kilkoma względami. Po pierwsze: względy techniczne. Te budynki są naprawdę dobrze zakonserwowane i dobrze się starzeją. Co jest istotne w kontekście tego, że konstrukcja, jaką proponował Segal, była bardzo prosta, niemal prymitywna i miała wiele niedociągnięć związanych z tymi właśnie uproszczeniami. Mimo tych uproszczeń, a czasem błędów, o których wspominali sami mieszkańcy, oceniali oni konstrukcję Segala pozytywnie, podkreślając jej podatność na zmiany, przebudowy i rozbudowy. Po drugie: świadomość historii miejsca, w którym się żyje, pomaga budynkom – w takich miejscach mieszkańcy bardziej dbają o domy. Po trzecie: zieleń, a na tych osiedlach jest jej bardzo dużo, pomaga bardzo prostej przecież estetyce budynków, jest ona równoprawnym elementem kształtującym przestrzeń.




Osiedle Diggers w Brighton arch: Architype i Jon Broome [archiwum autora]


Osiedle Segal Close w Londynie, arch: Walter Segal [archiwum autora]

I dlatego tak często w książce zwracasz uwagę na „wartość dodaną" metody Segala, jednocześnie podkreślając ważność kwestii technicznych.

Tak, ponieważ mówimy o domach, które zapewnić mają komfort, poczucie bezpieczeństwa, przyjemność swym mieszkańcom. Jednak oczywiście największe wrażenie robią lokalne społeczności, które powstały wokół „aktu założycielskiego", jakim była budowa zgodna z metodą Segala. W przypadku osiedli projektowanych przez Segala mówimy już o drugim pokoleniu, w którym ta świadomość istnieje i ma znaczenie, zaś w przypadku późniejszych osiedli udało mi się spotkać z ich budowniczymi.

Czego się od nich dowiedziałeś?

Tak oni, jak i mieszkańcy osiedli segalowskich, którzy nie brali udziału w budowie, w większości bardzo pozytywnie oceniają cały proces związany z metodą Segala jako trudny, ale dający możliwości, których nie dawała żadna inna droga uzyskania mieszkania. Większość moich rozmówców – a rozmawiałem zarówno bezpośrednio, jak i w oparciu o ankiety – podkreślało znaczenie metody w kształtowaniu lokalnej społeczności, która była oceniana pozytywnie. Charakterystyczne jest, że im dalej od budowy tym lepiej. Oczywiście najlepiej oceniana była przez mieszkańców starszych osiedli, którzy osobiście nie pracowali przy budowie. W przypadku budowniczych natomiast budowa była na tyle trudnym doświadczeniem, że mieszkańcy potrzebowali czasu na odpoczynek i złapanie odpowiedniej perspektywy, by miejsce ich zamieszkania nie kojarzyło się im tylko z ciężką pracą. To jest ciekawy wątek, który należy podkreślać po to, by zachować proporcje w ogólnie, moim zdaniem, bardzo pozytywnym odbiorze idei partycypacyjnej budowy domów. Ale też po to, by należycie docenić sukces, jaki stał się udziałem mieszkańców, którzy sami zbudowali swoje osiedla: jest to bardzo ciężka praca, tym trudniejsza jeśli w tym samym czasie trzeba wykonywać zwykłą pracę zawodową. Jest to jedno z największych ograniczeń tej metody i tego podejścia.

Najciekawszy przykład zmęczenia budową o jakim ci powiedziano?

Na jednym z osiedli w Londynie, projektowanym już w latach 90. (Segal zmarł w 1985 r.), można znaleźć przykład zarówno zmęczenia budową, jak i znaczenia wspólnej przestrzeni. W tym przypadku mieszkańcy zaprojektowali sobie duże domy, z którymi oczywiście było odpowiednio więcej pracy. Dodatkowo pojawiały się problemy z budową fundamentów, które ze względu na wielkość budynków i trudny grunt nie mogły być takie, jak zwykle projektował Segal: bardzo proste i niewielkie. W związku z tym zanim budowa wyszła z ziemi, już pochłonęła sporo czasu, nerwów, sił i pieniędzy. Dodatkowo część mieszkańców porzucała projekt, a na jej miejsce przychodzili następni, których musiała douczać wspólnota, co znów zajmowało czas i siły. Ostatecznie udało się zbudować osiedle i jest to jedno z ładniejszych i bardziej imponujących osiedli, jednak – jak wspominali mieszkańcy – przez trzy lata nie chcieli na siebie patrzeć, bo byli tak zmęczeni wspólnymi kłopotami technicznymi, kłótniami i innymi problemami. Dopiero po tych trzech latach, kiedy jeden z mieszkańców rozpoczął porządkowanie podwórka, nasadzenia, drobne prace przy małej architekturze, mieszkańcy znów wyszli do siebie, pomagając w pracach i odbudowując wspólnotę. Ten przykład jest ciekawy nie tylko dlatego, że pokazuje, jak można popsuć i odbudowywać relacje, ale także dlatego, że na tym osiedlu mamy przykład bardzo pozytywnej pomocy – w tym złym czasie trudów i zmęczenia w jednej z rodzin zmarła samotna matka, pozostawiając córkę, która ledwo osiągnęła pełnoletność, samą. Pozostali mieszkańcy postanowili, że wspólnie dokończą budowę jej domu.

Czy możliwe jest zastosowanie metody Segala w polskich warunkach? Jeśli tak, to jakie korzyści możemy z niej mieć?

Wydaje mi się, że tak, oczywiście w tym znaczeniu, w którym opisuję metodę Segala – możliwe jest przeniesienie zasad i celów budowy, dzięki zastosowaniu podobnego schematu inwestycji i rozwiązań konstrukcyjno-architektonicznych posiadających podobne cechy, jednak dostosowanych do naszego klimatu i obecnego standardu energetycznego budynków. Jest to możliwe, świadczy o tym opisywany przeze mnie przykład inwestycji w Połczynie Zdroju, gdzie opracowano naprawdę bliski idei Segala schemat budowy w oparciu o polskie przepisy. Nie zastosowano tam konstrukcji dającej „fory" budowniczym, ale sam schemat inwestycji był naprawdę ciekawy.

A czy urzędnicza machina biurokracji nam w tym nie przeszkodzi?

Jest to możliwe, ale jest też trudne, ponieważ nie ma prostej ścieżki administracyjnej, by zaangażować mieszkańców w budowę i zapewnić im odpowiednie profity i dostęp do budowanego mieszkania. Dlatego urzędnicy w Połczynie musieli wziąć na siebie sporą odpowiedzialność i koordynację prac, którymi normalnie zajmują się wykonawcy.

Jakieś nadzieje mogą dawać zapowiedzi pakietu mieszkaniowego, który ma ułatwić współpracę samorządów z kooperatywami oraz ułatwić udostępnianie gruntów za udziały w budynku. Opracowanie i „dotarcie" takich procedur ułatwiłoby zastosowanie w Polsce schematów podobnych do segalowskich. Tak że nadzieje są, ale nie tak duże, ponieważ póki co, są to tylko zapewnienia rządu. Zresztą ten rząd już zdołał zrobić sporą krzywdę oddolnym inicjatywom budowlanym, znosząc instytucję użytkowania wieczystego, co skutecznie ograniczyło dostęp do ziemi należącej do samorządów.

Nasi czytelnicy mogli zapoznać się z wątkami, które poruszasz w książce, czytając twoje artykuły publikowane na łamach „A-taku". O czym bedzie traktować cykl kolejnych artykułów? I czy możemy spodziewać się następnej książki?

Chciałbym zająć się relacjami architektury z utopiami/ideologiami. Nie będzie mi chodziło tylko o wplątanie architektów w machinę propagandy, o to, że architekt zawsze musi mieć mecenasa, a im silniejszego, tym lepiej. To oczywiście ważne i to będzie częścią cyklu, jednak o tym napisano już kilka książek. Ja chciałbym pokazać, jak pewne polityczno-socjologiczne idee były zamieniane w beton, cegły, metraże czy relacje przestrzenne. I wcale nie chodzi tylko o totalitaryzmy. Temat jest szerszy i ciekawszy. Jeśli ten cykl okaże się udany, to pewnie mógłby być temat kolejnej książki. Ale jest to bliżej nieokreślona przyszłość.

Rozmawiał Kapitan Flint

Artykuły Mateusza Gierszona, które dotychczas ukazały się na łamach „A-taku":

- *„Modernizm - architektura dla w[m]as" (nr 5, 2017, s. 15)*
- *„Anarchitektura" (nr 6, 2017, s. 11)*
- *„Hassan Fathy i dobrowolność" (nr 7, 2017, s. 17)*
- *„Team X i systemy" (nr 8, 2018, s. 18)*
- *„Ralph Erskine i ratowanie wspólnoty" (nr 9, 2018 s. 14)*
- *„Technologie współudziału" (nr 10, 2019, s. 10)*
- *„Studio Elemental i rzeczywistość" (nr 11, 2019, s. 17)*
- *„Walter Segal i spójna różnorodność" (nr 12, 2019, s. 17)*
- *„Szkielet żelbetowy i wolność" (nr 13, 2020, s. 18)*
- *„Wypełnienie słomą i ekologia" (nr 14, 2020, s. 18-19)*

OPOWIEŚCI O SOLIDARNOŚCI W WALCE KLASOWEJ

To nie będzie typowa recenzja, a raczej opowieść. Zaczyna się od odnalezienia w starych szpargałach zapomnianej broszury – Max Nettlau „Solidarność i odpowiedzialność w walce klasowej" – pierwotnie wydanej przez nieistniejące już anarchistyczne wydawnictwo Luzifer Verlag z Koszalina (wznowiona w 1997 roku przez Bractwo Trojka). Takie przeglądanie starych anarchistycznych szpargałów zawsze nasuwa trochę sentymentalnych wspomnień, możecie mnie więc nazwać boomerem, ale pozwólcie mi na chwilę sentymentalizmu.

Łukasz Weber

1

W czasach kiedy w pismach anarchistycznych łatwiej było o znalezienie tłumaczenia tekstów amerykańskich libertarian, jakikolwiek nawet XIX-wieczny tekst zawierający do tego w tytule wyklętą „walkę klas", stanowił swoisty rodzynek w cieście czy inną wisienkę na torcie. Dla ucznia szkoły zawodowej, jakim wówczas byłem, poruszone przez znanego anarchistę-archiwistę Nettlaua, mimo użytego przez niego dość archaicznego języka, problemy były naprawdę bliskie. Autor przedstawia zagadnienia w sposób klarowny, punktuje i wyłuszcza to, co w jego mniemaniu musi być najistotniejsze.

To oczywiście ma być wykład o anarchosyndykalistycznych metodach walki, więc muszą się pojawiać hasła strajku, strajku generalnego, ale też bojkotu czy sabotażu. Nettlau stara się umiejscowić walki robotników w szerszym kontekście społecznym. Zwraca uwagę na to, co sam określa publicznością, a co dziś moglibyśmy tłumaczyć chyba bardziej jako opinię publiczną. Stara się podkreślić, że robotnicy muszą brać odpowiedzialność za to, jak ich działania wpływają na życie innych – właśnie ową publiczność. I nie ma tu na myśli jedynie uciążliwości strajku, ale także samej produkcji przemysłowej. Nie można uznać, że sam przymus ekonomiczny – fakt, że pracodawca decyduje, a pracownik wykonuje – nie jest wystarczającym usprawiedliwieniem. Nettlau chce zwrócić uwagę na to, że w walce o poprawę losu pracowników, chodzi właśnie również o odpowiedzialność społeczną za to, czy produkcja przemysłowa nie degraduje środowiska, w którym sami żyją oni i ich sąsiedzi. Równie ważne jest to, co produkują: „Myślę o ogromnych masach robotników, które pracą swoich rąk budują poślednie domy, produkują poślednią odzież i małowartościowe jedzenie i wiele innych rzeczy degradujących życie, uciskających i rujnujących ducha i ciało bliźnich". Nie zapomina również o zwróceniu uwagi na same zawody społecznie szkodliwe, ale stara się zwrócić uwagę na to, że ta społeczna szkodliwość powinna być szerzej postrzegana. „Nikt nie zaprzeczy, że policjanci i żołnierze chamieją i grzęzną przez zawodowe łapanki, zdradę i morderstwa, które popełniają. I nie waham się zauważyć, że to samo dzieje się z każdym robotnikiem trudniącym się rzemiosłem i drobnym przemysłowcem, kiedy to, co robią, oparte jest na oszustwie".

Analizując takie sytuacje i zwracając uwagę na postawę robotników, autor chce, by wyszli oni poza wąskie patrzenie jedynie na swój bieżący interes, a za to raczej szukali wsparcia i potrafili okazać solidarność z innymi uciskanymi grupami społecznymi. To zwrócenie uwagi na to, jakie prace mogą być społecznie użytecznie i potrzebne, to wyprzedzenie myśli niedawno zmarłego Davida Graebera i jego „Pracy bez sensu" (w oryginale dosadniej: Bullshit Jobs).



cd na s.22

cd ze s.21

OPOWIEŚCI O SOLIDARNOŚCI W WALCE KLASOWEJ

Tylko świadomi i odpowiedzialni robotnicy mogą właściwie okazywać solidarność i na taką solidarność w swoich walkach pracowniczych liczyć. „Usprawiedliwienie: „Jestem tylko narzędziem" nie może nigdy zostać przyjęte. Dla tych, którzy uznają obecny porządek i są zadowoleni z tego, że pełnią funkcję narzędzi kapitalistów i ujarzmiają bliźnich, to wystarczy, ale ci, którzy działają niespołecznie, odrzucając istniejący system, są nieświadomymi tchórzami i nigdy nie zmieniają istniejącego stanu rzeczy. Chcemy powołać do życia takich ludzi, którzy zostali najpierw uwolnieni w swoim duchu, którzy zrobią te odrzucone rzeczy, na stałe zmienią nędzę i niewolę bliźnich, wywołując prąd sympatii i solidarności, i staną się motorem wszystkich przyszłych działań".

2

I czas na drugą, bardziej współczesną część tej opowieści. Nie, nie miejcie mnie za „emeryta", który z nostalgią wraca do lektur z młodości. Przypomniałem sobie o pożółkłej broszurce, z zagadnieniami związanymi z walką klas, po obejrzeniu całkiem współczesnego filmu „99 Homes". Amerykańska produkcja z 2014 roku to kino raczej niezależne, choć mamy rozpoznawalnych aktorów – Michaela Shannona, Andrew Garfielda czy w drugoplanowej roli Laurę Dern. To dość symptomatyczne, że głównie mniej komercyjne amerykańskie kino sięga po problematykę społeczną.

Główny bohater filmu, Dennis Nash (Andrew Garfield), traci swój dom. Sytuacja utraty dachu nad głową to efekt niedawnego kryzysu na rynku nieruchomości. Dennis, zajmujący się drobnymi pracami budowlanymi, traci kolejne zlecenia i szanse na prace, tak jak ludzie tracą domy – kiedy nie stać cię na raty kredytu tym bardziej nie myślisz o naprawach i remontach – wszystko dookoła bohatera wydaje się walić i nie wie on, jak poradzić sobie z ekonomicznymi problemami. Do tego to on musi się zajmować chorą matką i ją utrzymywać oraz samotnie zmagać się z wychowaniem syna.

I właśnie do będącego w tak dużym kryzysie bohatera zwraca się grany przez Shannona Carter. To człowiek, który korzysta z okazji, zajmuje się jednocześnie projektem deweloperskim, jak również eksmisjami i przejmowaniem zadłużonych domostw. To on przejmuje dom Dennisa, a jednocześnie wysuwa wobec niego pewną propozycję. Potrzebuje człowieka do pomocy, kogoś, kto „przyśpieszy" wyprowadzanie się „marudnych lokatorów", kogoś, kto przeprowadzi naprawy w zdewastowanych domach eksmitowanych, w końcu kogoś, kto odwali tzw. „brudną robotę". I nie, bohater wcale nie pali się do takiego zajęcia, ma wyrzuty, w końcu mieszka już w motelu, pełnym ludzi takich jak on, ludzi właśnie eksmitowanych, chwytających się jakiejkolwiek pracy, takich, którym życie już dopiekło.

A jednak Carter potrafi kusić. To człowiek, który roztacza przed młodym bohaterem perspektywy. Znów odżywa tu jakże amerykański mit, w którym każdy może zrobić karierę „od pucybuta do milionera". Trzeba tylko zakasać rękawy, skorzystać z okazji i wyzbyć się moralnych dylematów. Oczywiście tam, gdzie pieniądze, tam i prestiż, tam łamane są klasowe granice, tam nasz bohater jeszcze przed chwilą prosty robotnik, może dostąpić zaszczytu pijackiej zabawy w pięknym domu szefa, szczerych męskich – niemal ojcowskich – rozmów, tej iluzji bliskości, bo przecież obaj pracują na wspólny sukces „ich firmy".

I tu powracają zagadnienia klasowej odpowiedzialności, przynależności i klasowego interesu. Uwspółcześniona opowieść pozwala spojrzeć na te same problemy, które dotykały XIX-wiecznego anarchisty Maxa Nettlaua. Czy pracownik zawsze może się zasłaniać stwierdzeniem, że jest tylko „trybikiem w maszynie"? Bo przecież początkowo Dennis ma jedynie pomagać wynosić rzeczy eksmitowanych zgodnie z prawem osób. Jeśli nie on, to zrobi ktoś inny, ktoś inny weźmie jego pracę, która pozwala mu spłacić długi i odzyskać utracony dom. Refleksja nie przychodzi nawet wówczas, gdy zajęcia zlecane przez szefa coraz bardziej przypominają metody czyszczenia kamienic, bo przecież trzeba się szybko pozbyć zadłużonych lokatorów, a czas to pieniądz, im szybciej zrealizuje się zlecenie, tym bliżej ustalonego celu – odzyskania własnego domu. Dodatkowo, nie tak jak w dziewiętnastowiecznych fabrykach, szef nie jest tu niedostępnym fabrykantem. Rick Carter to taki szef-kolega, przecież roztacza nad bohaterem niemal ojcowską opiekę, zaprasza do domu, opowiada o swoim życiu, daje rady. To, czy bohater dokona właściwej oceny i odnajdzie się w zaistniałej sytuacji, okaże się na końcu filmu, nie chcę tu zdradzać pełni fabuły.

3

Przedstawiłem dziś dwie opowieści, które mimo olbrzymiej różnicy czasów, w których powstały – broszura Nettlaua została napisana w 1899 roku, film amerykańskiego scenarzysty i reżysera Ramina Bahrana to produkcja z 2014 roku – łączy tematyka skłaniająca do podobnych refleksji. Czy zawsze możemy tłumaczyć się, że wykonujemy tylko pracę? Że nie mamy wpływu na otaczającą nas rzeczywistość? Że jeśli nie my, to zrobi to ktoś inny? Czy możemy wznosić hasła i domagać się solidarności, jeśli sami nie potrafimy jej okazywać? Czy naprawdę nawet nie bardzo lubiany sąsiad z domu obok jest nam dalszy niż kierownik czy szef w „naszej" firmie, który dziś odezwał się do nas po imieniu albo przyjaźnie poklepał po ramieniu? Czy chcemy budować społeczność, czy żyć tylko we własnych mikroświatach, gettach, które łatwo jest pacyfikować i utrzymywać w ryzach? A może jednak warto szerzej spojrzeć na istniejące nadal podziały klasowe, starać się je wychwytywać, analizować, zrozumieć.

Na koniec oddam głos, jak się wydaje, nadal aktualnemu przesłaniu Nettlaua: „Tym, co wydaje się być konieczne oprócz bezpośredniego duchowego propagowania idei anarchistycznych i rzeczywistej akcji rewolucyjnej, która jest niezależna od wszystkich wcześniejszych dyskusji, jest doprowadzenie dużych i ciągle powiększających się mas ludowych do zapoznania się z zasadami ludzkiego honoru, wolności i solidarności, i próba dostosowania życia do tych zasad".



ŚLADY W FILMIE

10. ROCZNICA ZAMORDOWANIA JOLANTY BRZESKIEJ

Jolanta Brzeska była działaczką lokatorską, współzałożycielką Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, jedną z ofiar Marka Mossakowskiego – niesławnego „kolekcjonera kamienic", wzbogacającego się na tzw. dzikiej reprywatyzacji. 1 marca 2011 roku wyszła z domu, zostawiając m.in. torebkę i telefon. Jej spalone zwłoki znaleziono tydzień później w Lesie Kabackim. Pierwszą hipotezą policji i prokuratury było samobójstwo. Dzięki determinacji aktywistów lokatorskich sprawy nie udało się umorzyć, a kolejne poszlaki wskazywały na udział tzw. mafii reprywatyzacyjnej. Dziś wiemy, że Jolanta Brzeska została zamordowana, zabójcy jednak nadal pozostają bezkarni. Jej osoba oraz walka z reprywatyzacją od kilku lat przebija się do społecznej świadomości, również dzięki filmom i serialom.

Krzysztof Kołacki



LOKATORZY

(2011, Piotr Łapiński i Tomasz Kurzyca)

Pierwszy film o walce warszawskich lokatorów z mafią „handlarzy roszczeń" i „czyścicielami kamienic" powstał dokładnie 10 lat temu. Zrealizowany przez lokatorskich aktywistów, w całości składa się z rozmów z lokatorami właśnie. Niestety, twórcy nie zdążyli nagrać rozmów z Jolantą Brzeską, ale wypowiadają się jej przyjaciele i przyjaciółki, m.in. Janusz Baranek i Ewa Andruszkiewicz. „Lokatorzy" to wczesny zapis fermentu wokół reprywatyzacji, solidarności i samoorganizacji. Film był pokazywany w ramach festiwalu Warszawa w Budowie, którego kuratorem był Tomasz Fudala. Był częścią serii instalacji opisujących zjawisko reprywatyzacji oraz jej społeczne skutki.

KTO ZABIŁ JOLANTĘ BRZESKĄ

(2013, Kontrplan)

Jeśli teledysk można uznać za dzieło filmowe, to z pewnością przy okazji tego rodzaju przeglądu nie można pominąć klipu do piosenki duetu Kopyt/Kowalski. Zrealizowała go poznańska grupa Kontrplan, a w klipie można zobaczyć działaczkę Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów. Piosenka w nieco poetycki sposób opowiada historię walki i zabójstwa Jolanty Brzeskiej, jednocześnie pytając o rolę policji i prokuratury w tuszowaniu tej zbrodni. Podobnie realistyczno-metaforyczny jest teledysk, udostępniany m.in. na kanałach warszawskiego skłotu Syrena. Na jego końcu otrzymujemy pigułkę ze stanem wiedzy na temat zamordowania Jolanty Brzeskiej (wówczas sprawę umorzono).

Klip można obejrzeć tu: https://www.youtube.com/watch?v=gEB1KZ39z0I

SYRENA ZNACZY WALKA

(2014, Syrena)

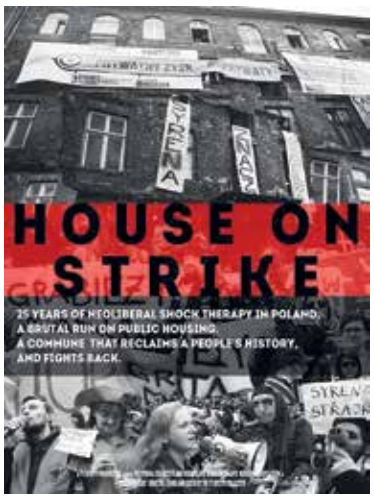
W października 2014 r. miała odbyć się licytacja komornicza kamienicy przy ul. Wilczej 30. Opuszczony, zadłużony budynek zajęła 10 marca 2011 grupa aktywistek i aktywistów anarchistycznych i lokatorskich, tworząc centrum społeczne i skłot Syrena. Interwencja komornicza wynikała ze zgłoszenia urzędu dzielnicy Śródmieście, wobec której właściciel kamienicy był zadłużony na kwotę 200 tys. zł za użytkowanie wieczyste. Ostatecznie, m.in. w wyniku presji społecznej, licytacja się nie odbyła, a Syrena działa do dziś. Kampanii z 2014 r. towarzyszył klip mobilizacyjny „Syrena znaczy walka". W niespełna 8 minut opowiada on historię skłotu oraz walki z mafią reprywatyzacyjną – procederem, w który zaangażowane są wszystkie siły polityczne ostatnich 30 lat. W filmie, czy raczej filmiku, widzimy odbijanie szablonów z Jolantą Brzeską i hasłem „Wszystkich nas nie spalicie", ujęcia z lokatorskich demonstracji czy bardzo kontrowersyjną dla mediów liberalnych vlepkę „Mossakowski. Warszawa jest łatwopalna": (https://puszka.waw.pl/mossakowski._warszawa_jest_latwo_palna-projekt-pl-2483.html).

Klip pokazuje nam walki społeczne toczone w Warszawie właściwie od początku transformacji ustrojowej. Można go obejrzeć tu: https://www.youtube.com/watch?v=B6ngMSYlDEU

SYRENA TO STRAJK /HOUSE ON STRIKE

(2016, Syrena)

W 2016 r., staraniem mieszkańców skłotu, powstał krótkometrażowy film dokumentalny o Syrenie pod tytułem „House on Strike". W tym samym roku otrzymał główną nagrodę w kategorii film dokumentalny na Tolpuddle Radical Film Festival w Tolpuddle. „House on Strike" to półgodzinna podróż przez historię warszawskiego skłotingu. Jego autorki i autorzy nazywają samych siebie „druga falą". Pierwsza fala skłotingu, ich zdaniem, to ludzie, którzy zajmowali opuszczone i zniszczone po wojnie domy, a następnie odbudowywali je. Dziś to oni są często ofiarami dzikiej reprywatyzacji i handlarzy roszczeń, chociaż tak naprawdę to oni swą pracą niejako nabyli prawo do mieszkania. „Druga fala" to anarchiści, którzy zajmują i remontują zadłużone, zapuszczone budynki, by uczynić je mieszkaniami i centrami społecznymi. Razem



tworzą silny ruch lokatorski, sprzeciwiający się podwyżkom czynszów, eksmisjom, reprywatyzacji, postulujący natomiast solidarność klasową. W bardzo prosty i jednoznaczny sposób wyraża to hasło: „mieszkanie prawem, nie towarem". W filmie widzimy dużo przebitek z demonstracji, przemówienia nie tylko działaczek i działaczy lokatorskich, ale też związkowców czy po prostu anarchistów. To z tego ruchu wyrasta socjalny feminizm, a tzw. ekspercką wiedzę prawną posiadają ludzie, których ona dotyczy – przede wszystkim lokatorki. Bo – jak podkreślają – idei nie da się eksmitować.

Film, opatrzony angielskimi napisami, można obejrzeć tu: https://en.labournet.tv/house-strike

PEWNEGO RAZU W LISTOPADZIE

(2017, Andrzej Jakimowski)

O filmie Andrzeja Jakimowicza głośno było w środowisku anarchistycznym i lokatorskim z dwóch powodów. Po pierwsze – porusza on temat dzikiej reprywatyzacji, chociaż nie jest on wiodący i raczej stanowi element tła. Niemniej jednak punkt wyjścia całej historii to eksmisja na bruk oraz jej konsekwencje. Drugi powód to współpraca twórców ze skłotem Przychodnia, którego ówcześni mieszkańcy zagrali małe rólki w filmie i konsultowali ukazanie w nim anarchistycznych spotkań organizacyjnych. Finał filmu to rekonstrukcja starć z nacjonalistami podczas Marszu Niepodległości w 2013, kiedy to faszyści – przy milczącej aprobacie policji – postanowili zaatakować centrum społeczne w centrum Warszawy. Tylko dzięki zdecydowanej postawie anarchistów udało się ocalić ludzi i samą Przychodnię, gdzie schronił się główny bohater filmu. „Pewnego razu w Listopadzie" zostało ciepło przyjęte przez widzów i krytyków. Film otwierał 33. Warszawski Festiwal Filmowy, a niemal każda dyskusja o nim musiała dotykać tematów reprywatyzacji i nacjonalizmu. Jednak trudno w tym przypadku mówić o kinie społecznym na miarę Kena Loacha. Film nie rozlicza nikogo za politykę, która doprowadza do tragedii, a nacjonalistyczny pogrom jest po prostu efektowną kulminacją, nie poddaną w zasadzie analizie. Niemniej to wciąż pierwszy film, który porusza łącznie te tematy, a twórcy chętnie opowiadali w wywiadach o społecznych kontekstach, które doprowadziły do tego, że postanowili zrobić film właśnie na taki temat.



PUŁAPKA

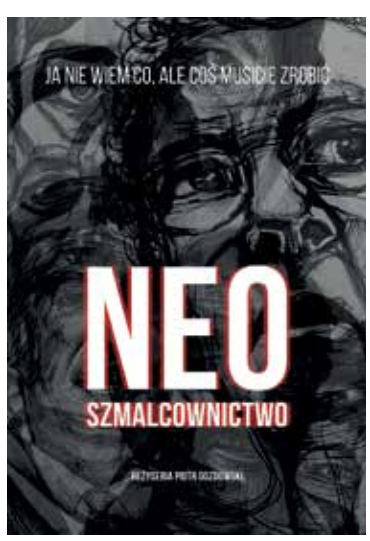
(2018, Łukasz Palkowski)

Czy zabójstwo znanej działaczki lokatorskiej może być elementem fabuły jednego z popularnych seriali, w dodatku produkowanego przez telewizję TVN? Twórcy „Pułapki" uznali, że jak najbardziej tak. Historia Jolanty Brzeskiej została sparafrazowana w pierwszym sezonie serialu. Tutaj nazywa się Joanna Konieczna, walczy o prawa lokatorów, a jej spalone zwłoki zostają znalezione w lesie. Sprawa ma 11 lat, a zaczyna wypływać za sprawą Olgi i Justyny, może nie głównych, ale na pewno ważnych bohaterek serialu. One nie wierzą w oficjalne wyniki śledztwa, które stwierdziło samobójstwo (podobną hipotezę, jak wiemy, stawiano w przypadku Brzeskiej). Kolejne fabularne klocki ukazują nam, że w sprawę zaangażowani są wpływowi ludzie i sama policja, w której interesie było niedrążenie sprawy aktywistki. Produkcja stacji TVN nie wchodzi głębiej w temat, a fabuła skupia się na wątkach czysto sensacyjnych, w ogóle nie podejmując tematu reprywatyzacji czy eksmisji, niemniej jest to pierwsze ukazanie historii Jolanty Brzeskiej w popularnym filmie odcinkowym.

NEOSZMALCOWNICTWO

(2020-2021, Piotr Gozdowski)

Opowiedzenie historii odbudowy Warszawy, następnie reprywatyzacji i handlu roszczeniami, a na tym tle przedstawienie historii Jolanty Brzeskiej, to zadanie trudne i z pewnością obliczone na wiele lat. Podjął się go Piotr Gozdowski, dziennikarz i aktywista, znany między innymi ze współpracy z Janem Śpiewakiem. Jego dziełem życia jest „Neoszmalcownictwo", początkowo znane jako „Kup pan cegłę". To opowieść o reprywatyzacji, widzianej jako proceder niesprawiedliwy i o charakterze przestępczym. Gozdowski przeprowadził wiele rozmów z działaczkami i działaczami lokatorskimi, starając się m.in. zrekonstruować sprawę śmierci Jolanty Brzeskiej (którą można zobaczyć w tym filmie). Między tymi opowieściami kreśli wizję grabieży, jak sam podkreśla, „zwanej pieszczotliwie reprywatyzacją". Swój dokument kręcił przede wszystkim na skłocie Syrena, a o sprawach lokatorskich i aktualnej swojej sytuacji opowiadają same walczące lokatorki i lokatorzy. Brzeska wypowiada się w materiale archiwalnym, ale Ewa Andruszkiewicz czy Janusz Baranek wypowiadają się specjalnie na potrzeby tego filmu. To nie miał być bezstronny reportaż, na wzór tych, które na ten temat nakręciła TVP (m.in. „Jolanta Brzeska/Nabielaka 9" z 2017), ale oskarżenie rzucone systemowi. Jak mówią aktywistki i aktywiści: Jolantę Brzeską zabił system. 2 grudnia 2020 roku miała premierę pierwsza część filmu „Neoszmalcownictwo" (w analogii do historycznego, wojennego i powojennego szmalcownictwa – czyli wymuszania okupu na ukrywających się Żydach). Na część drugą oraz towarzyszącą jej książkę przyjdzie nam jeszcze poczekać (pierwotnie miała powstać w styczniu 2021). Niemniej warto śledzić losy tego projektu pod adresami: https://neoszmalcownictwo.eu/film oraz https://www.facebook.com/kuppanceg



LOKATORKA

(2021, Michał Otłowski)

1 marca 2021 znienacka dowiedzieliśmy się, że ruszyły zdjęcia do filmu „Lokatorka" Michała Otłowskiego. To twórca kojarzony przede wszystkim z kinem gatunkowym. W dorobku ma m.in. serial medyczno-kryminalny „Diagnoza", thriller „Jeziorak" czy film akcji „Diablo. Wyścig o wszystko". Tymczasem „Lokatorka" jest anonsowana jako pierwszy film fabularny o dzikiej reprywatyzacji, skupywaniu roszczeń, kupowaniu kamienic z lokatorami. To oczywiście jako tło dla historii Jolanty Brzeskiej, lokatorki, która postawiła się elitom biznesowym i politycznym, za co zapłaciła najwyższą cenę. Zmieniono imiona i nazwiska (m.in. Brzeska nazywa się tu Janina Markowska), ale istota pozostała. Fabuła filmu obiecuje sensacyjny dramat polityczny z policyjno-bandyckimi układami i dusznym klimatem zmowy milczenia wokół kluczowej afery ostatnich 30 lat. Nic dziwnego, że film już ukochała sobie prawica, a ostrożnie krytykuje nienakręcony jeszcze obraz liberalna i lewicowa część polskiej sceny politycznej. Chodzi o jednego ze scenarzystów, Jacka Mateckiego, historyka i prawicowego komentatora, który „zasłynął" apelem „Przestańcie nas mordować!", krytykującego proimigracyjną (w jego mniemaniu) politykę Unii Europejskiej. To rok 2015, ale trudno powiedzieć, czy jego poglądy się zmieniły. W międzyczasie był współautorem nacjonalistycznego peanu na cześć Narodowych Sił Zbrojnych pt. „Historia Roja". Tutaj również koproducentem jest Telewizja Polska. Na ekranie zobaczymy m.in. Irenę Melcer, Leszka Lichotę, Jana Frycza, Sławomirę Łozińską, Piotra Głowackiego, Kamila Nożyńskiego i Andrzeja Grabowskiego. Z tego, co nam wiadomo, twórcy nie konsultowali się z organizacjami lokatorskimi ani samymi lokatorami. Premiera planowana jest jeszcze w 2021 roku.

KLINT* A SCENA SPORTÓW WALKI

Jakie są pierwsze obrazy, które widzimy w mediach czy nawet w naszych głowach, gdy myślimy o sportach walki? Zazwyczaj to spoceni, północni, heteronormatywni facteci, bijący się w ringu po mordach, dopóki nie tryśnie pierwsza krew. W około tego błazenada, pozowanie, kobiety widać co najwyżej na widowni.



Pomijąc temat klubów sportowych radykalnej prawicy z ich zideologizowanym obrazem kobiety, treningi bez przykrych incydentów są dla kobiet*, lesbijek*, osób aseksualnych*, niebinarnych*, inter–* i transpłciowych* – czyli KLINT* – utrudnione nie tylko w klubach zwykłych, ale nawet na miejscówkach „lewackich", alternatywnych. Dzieje się tak z wielu powodów.

Propagowany w kontekście sportów walki obraz ciała idealnego ma zazwyczaj niewiele wspólnego z osobami KLINT* – co niestety poświadcza temu, że seksizm jest w sporcie głęboko zakorzeniony. Słyszałyście*słyszeliście już hasła typu „Niech panie zrobią połowę pompek", „Przecież kobiety od razu się mażą, jak dostaną" albo „Transmężczyźni to nie prawdziwi mężczyźni"? Takie zwroty powodują, że rzeczywisty trening twarzą w twarz nie jest możliwy. Niestety utrudnia to osobom KLINT* odznalezienie swojego miejsca w większości klubów. Potrzebujemy miejsc, w których można trenować bez konieczności ocierania się o nagie męskie torsy, w których nie trzeba walczyć z uśmieszkami pełnymi poważania. Potrzebujemy miejsc, w których szacunek i wspólnotowość to najwyższe priorytety. Gdzie trenuje się przy poszanowaniu różnorodności ciał, uwarunkowań oraz samodefinicji – tego pragnie tak wiele* z nas!

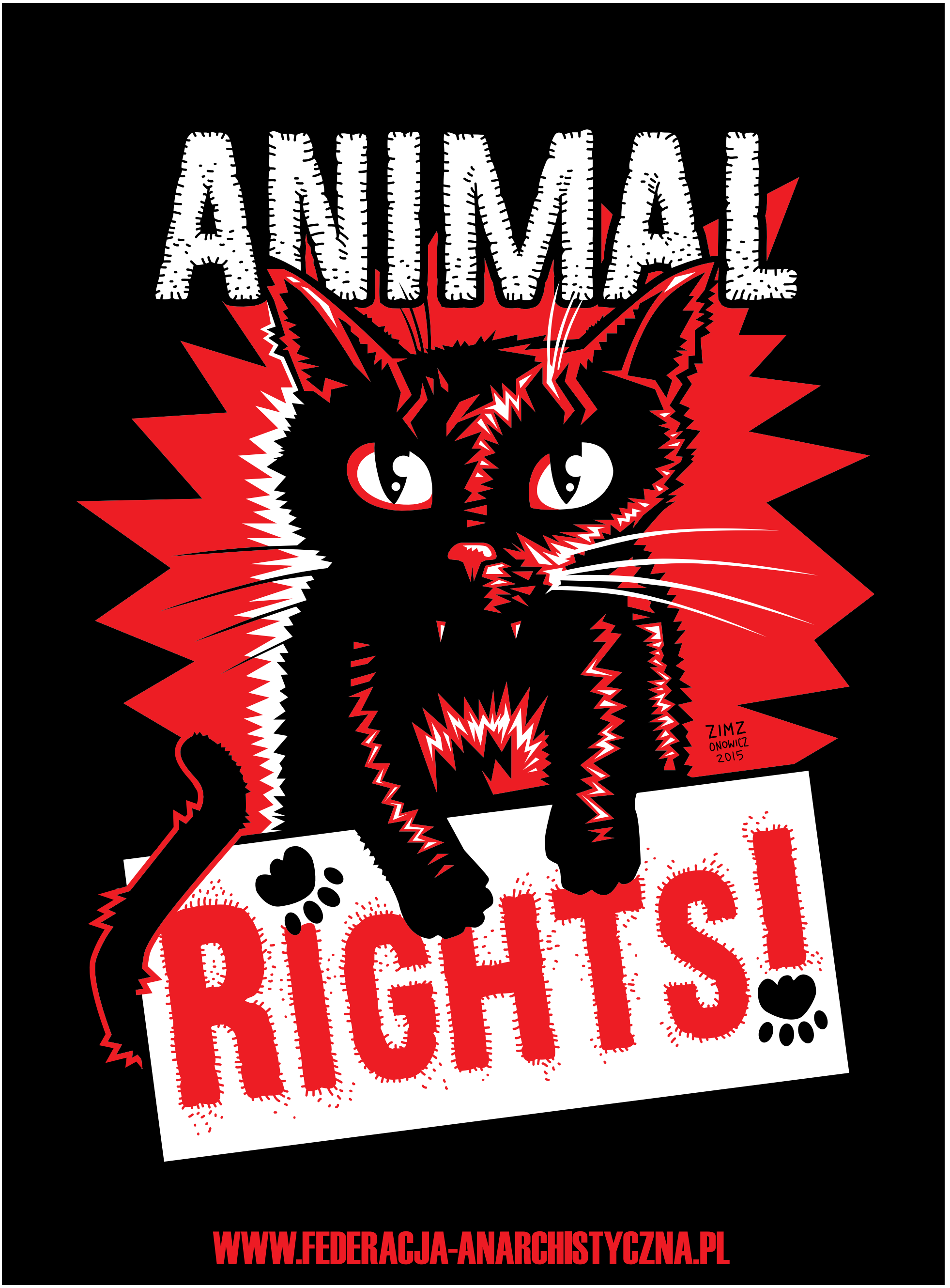
Zjawiska te zmotywowały niektóre z osób KLINT* do otwierania swoich własnych klubów, jak choćby stowarzyszenia Sidekick w niemieckim Lipsku. Aktualnie należy do niego 350 kobiet*, dziewcząt*, osób niebinarnych*, inter–* i transseksualnych*, w wieku od sześciu do pięćdziesięciu lat. Zainteresowanie jest ogromne i wynika nie tylko z zaciekawienia sportami walki jako takimi, lecz także z zapotrzebowania na przestrzeń, w której poszanowanie i ochrona siebie na wzajem są nieodzownymi cechami treningów. Szczególną uwagę przykładamy do życzliwej atmosfery, no i do frajdy, do zadowolenia z ćwiczeń. Niektóre z osób chętnie startują w zawodach, inne wcale nie są tym zainteresowane. Trenerzy* i trenerki* zwracają uwagę między innymi na to, by osoby o niezwyczajnych ciałach miały możliwości wykonywania odpowiednich ćwiczeń. W ramach potrzeby pokazywane są ćwiczenia dostosowane do ograniczeń, nie ma ciśnienia na osiągi. Rozwój stowarzyszenia i znaczne zwiększenie się ilości ćwiczących tu osób w przeciągu pięciu lat od jego założenia w 2016 r. mówi samo za siebie.

Od dwóch lat trenują tu także trzy grupy dzieci i młodzieży. Dziewczynki*, dzieci* i młodzież* inter*, trans*, jak i niebinarna* nabywa tu doświadczenia, które nie jest im znane ze standardowych lekcji wuefu. Zachęcamy do odkrywania swojej mocy, do odważnego wykorzystywania głosu i ciała. Z przerażeniem obserwujemy przy tym, jak wielkie są różnice między chłopcami a dziewczynkami już na poziomie pierwszych klas szkół podstawowych, gdy chodzi o świadome operowanie siłą ciała czy też podejmowanie wyzwań! Ogólnie rzecz ujmując, zajęć dla dzieciaków nie pasujących do standardowego, binarnego systemu genderowego jest zdecydowanie za mało. Zbyt mało jest miejsc, w których osoby te mogą być tą* czy tym*, kim są!

Nasze stowarzyszenie ma być jedynie przykładem tego typu miejsca, nie chodzi o autoreklamę. Tekst ten ma na celu przekonać was do tego, że queerowe kluby sportowe są jak najbardziej potrzebne. Niestety, już istniejące struktury tego typu zazwyczaj nie są brane na poważnie przez standardową scenę sportów walki – ignoruje je, nie zaprasza na zawody. Dlatego zadanie, aby działać przeciwko dyskryminacji, by zmieniać, „otwierać" standardowe kluby na odmienność, jest wciąż jak najbardziej aktualne. Zapraszajcie ugrupowania osób KLINT* na zawody mieszane, aktywnie przeciwdziałajcie dyskryminacji i, co najważniejsze, twórzcie więcej takich klubów. Zakładajcie queerowe stowarzyszenia i fundacje, rozwijajcie się!

Ps. Od tłumaczki: gwiazdka jest BARDZO ważna. Na przykład „wiele z nas", można też odczytać jako „wielu* z nas". Gwiazdka łączy różne płci, dopowiada niewypowiedziane – płeć trzecią, której istnienie uznają nawet niektóre z krajów tego świata. „Wiele z nas" oznaczałoby kobiety, „wielu z nas" – mężczyzn, ale... Nie wszyscy mogą albo chcą spełniać normy płciowe. Uszanujmy to za pomocą gwiazdki!*

ANIMAL



WWW.FEDERACJA-ANARCHISTYCZNA.PL